№ 3. Warszawa, dnia 7 (19) Stycznia 1878 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

KILKA SŁÓW

z powodu Wystawy pracy kobiet w Muzeum Przemysłowem Warszawskiem.

(Dokończenie).

Szkoła rysunków pani Łubieńskiej nie odpowiada też potrzebie. Mile i użytecznie co prawda, przepędzić tam mogą parę godzin czasu codziennie, panny dobrego tonu, ale za wysokie to progi dla biednej pracownicy, której talent zapewnić winien w przyszłości chleb gorzko nabyty. Albo, czy w takiem mieście jak Warszawa, nie byłoby np. zupełnie na swojem miejscu wyższe naukowe kolegium, gdzieby się kształcić mogły na profesorki gimnazyalne żeńskie te z kobiet, które sposobią się do zawodu nauczycielskiego? Odpowiedzieć mi na to można, że kreowanie podobnych instytucyi przywilejem jest rządów. Naprzód, niekoniecznie: za granicą spotyka się wiele organizacyi tego rodzaju, powstałych kosztem prywatnych funduszów i starań, ale nie o to mi idzie. Parę lat temu kiedy otwarto w Warszawie, biuro stręczeń w odmiennym od innych rodzaju, pod firmą pana Kossuta, dla czego wyłączono zeń kobiety, pozostawiając je zawsze i wszędzie własnym siłom, własnemu przemysłowi? W zeszłym znów roku powstała myśl śliczna zawiązania towarzystwa wzajemnej pomocy dla szwaczek, znalazł się już był ktoś co ofiarował podobno 100 rs. na pierwsze początki, ale ktoś inny zaprotestował przeciwko owemu pomysłowi, twierdząc bardzo nawet słusznie, że zaopiekowanie się szwaczkami wyłącznie a nie pracownicami w ogólności, pogorszy tylko ich położenie; wszystkie bowiem kobiety z pracy rąk żyjące, rzucą się do tego jedynego zawodu i tak aż nazbyt przepełnionego. I na debatach zakończyła się cała ta sprawa, którą odłożono *ad acta*, jak gdyby głód i nędza wraz z nią w odwłokę pójść mogły. Wreszcie czy zakładając osady rolne w Studzieńcu, pomyślano też i o tem, że pomiędzy moralnie zaniedbanemi dziećmi, są i moralnie zaniedbane dziewczęta? Nie, o tem nie pomyślano. Zresztą pocóż? Wszak w przekonaniu jeśli nie wszystkich, to wielu starowierów przestrzegających dawnego porządku, niemoralne dziewczęta są złem pożytecznem, *sprzętem* równie przyjemnym jak karty i wino, bez których trudno przecie żyć wygodnie na świecie.

Na wszelkie tego rodzaju potrzeby i niedostatki społeczne, głuchą jest nasza publiczność, nieczułemi są pisma. A jednak czyjem że, jeśli nie prasy peryodycznej obowiązkiem, jest czuwać nad rozwojem społeczeństw? Czyjem, jeśli nie jej zadaniem jest torować drogi nowe? Kto, jeśli nie piśmiennictwo poruszać powinno kwestye podobnej treści? Do kogo, jeśli nie do niego należy nawoływanie? I w jakiż sposób dziennikarstwo nasze, wypełnia to święte posłannictwo swoje? Oto ponieważ wyszydzanie kwestyi kobiecej weszło na porządek dzienny, weszło i ono na tor ubarwiania jej dobrym humorem zaprawianym konceptami nie zawsze udatnemi, pomimo to jednak znajdującemi, liczny zastęp powolnych słuchaczy, nie wybrednych tym razem. Atoli sądzę, że godziłoby się mieć trochę względu i na czytelniczki, których grono powiększa się rok rocznie. Poco gnębić i smucić z nich jedne? Poco źle, fałszywie oddziaływać na drugie? Jest prawdą powszechnie uznaną, że przekonania kobiet wywierają wpływ wielki na mężczyzn, to z drugiej znów strony, biorąc pod ścisłą rozwagą własności natury ludzkiej, czyliż podobna przypuścić, aby i mężczyźni nie oddziaływali też na kobiety? A za następstwa tego oddziaływania, są oni tem odpowiedzialniejsi, że do dziś przy nich jest przewaga, wyższości umysłowej, przywilei, praw i swobody działania.

W kwestyach, które milczeniem zbywa prasa peryodyczna, lub co gorsza, dla których szerzy zniechęcenie, rozwój rzeczywisty jest niemożebnym. Nie ma też u nas rozwoju pracy kobiecej w całem tego słowa znaczeniu. Świadczy o tem jawnie Warszawska wystawa. Wielkie panie zarzuciły ją zbytkowną robotą... wyrobnica co ode drzwi do drzwi napróżno kołacze, cóż posłać na nią miała? Smutne koleje jej losu! Zatrważająca nędza i głód wyczerpujący siły, nie materyały to na olśniewającą przepychem wystawę, nie, to raczej temat do smętnej powieści, rozdzierającej serce.

Bardzo dogodną wymówkę na wszelkie w tej mierze zarzuty, stanowi dla tych panów wyjątkowość położenia społeczeństwa naszego, śród którego i mężczyźni temi czasy znajdują z trudnością środki zarobkowania; z tem wszystkiem pozorna to i błaha wymówka. Nowe potrzeby wytwarzać muszą nowe warunki, najświeższym tego dowodem są maszyny do szycia. Ileż to hałasu wynalazek ten narobił przed trzydziestą laty! Pesymiści przepowiadali zupełny upadek szwaczkom. Do jakiego stopnia płonnemi były te przedwczesne obawy, wykazuje sprawozdanie złożone w Boaep of Trade, (Tyg. Mód N-r 36 r. 1877 Korespond. z Londynu) z którego się dowiadujemy że: „Ilość szwaczek na maszynie jest teraz dwa razy większa niż dawniej było pracownic igły, a pomimo to więcej one zarabiają i lepiej żyją.“

I z kwestyą kobiecą nie inaczej też będzie, byle raz pozostawiono jej bieg wolny. W gospodarstwie społecznem jak i w gospodarstwie domowem cała umiejętność kierunku polega na tem, aby siły żadne zmarnowanemi nie były. A czyliż nie marnują się u nas siły i zdolności kobiece? Ogół nasz jednak nie rozumie, czy też nie chce zrozumieć tego tak prostego zadania. Uniesiony szałem opozycyi, nie przestaje wołać uparcie: precz z inowacyą! po dawnemu kobietę wy-

chowujmy na *matkę*... (wnosić by mógł z tego prostaczek, że postęp i wyższa oświata są zamachem stanu na prawa natury), resztę zaś powiadają, to jest te z kobiet, dla których mężów zabraknie, poświęcić należy na ołtarzu dobra powszechnego. Oto jest dowód wiary rutynistów, nie pomnych na tę drobną okoliczność, że ta reszta, to kilkanaście może kilkadziesiąt tysięcy ludzkich jednostek, obezwładnionych, bo nie wykształconych odpowiednio do życia samodzielnego, a więc ciążących na barkach społeczeństwa, w podobnie nieoględny sposób rozumującego. I mamyż temu uwierzyć, że stawszy się zbytecznym balastem, przynosimy dopiero wtedy pożytek dobru powszechnemu: że pierwotna idea czystego chrześcianizmu, przetłomaczona na język nowożytny, upoważnia płeć jedną do tyranizowania płci drugiej?

Właśnie dlatego, że nie każda kobieta znaleźć może pomieszczenie w zakresie życia rodzinnego, koniecznością jest kształcić wszystkie w ten sposób, aby stać się mogły użytecznemi i po za jego obrębem. Czyliż nie ma wiele bardzo wiele do zrobienia na świecie, czyliż ludzkość cała nie jest jedną olbrzymią rodziną? Zamiast gnuśnieć w bezczynności, zamiast umierać dowolną śmiercią z nudów i tęskno-ty za czemś nieujętem, dla czego kobieta samotna nie miałaby wypełnić czynem, to jest pracą korzystną, jak wieczność długiego, jeśli bezcelowego swego życia? Ale tak co do rodzaju pracy, jak i co do przekonań osobistych, pozostawienie wolnego wyboru, jest warunkiem koniecznym. Za wrodzonemi tylko zdolnościami podążający człowiek, przynieść może rzetelny pożytek społeczeństwu śród którego się rozwija. Zatem i kobiecie nie słusznem jest narzucać przemocą gustów i upodobań.

Dla kogoś obserwującego z boku, jakże oryginalnem się wydaje np. powszechne temi czasy dzwonienie na to kazanie, aby kobiety rzucały się ryczałtem do gospodarstwa wiejskiego. Niech się wszelkiemi siłami biorą do niego te z nich, które posiadają choćby piędź ziemi własnej, jakoteż te, które wykształcą się specyalnie na wiejskie gospodynie, nietylko nic nie mam przeciwko temu, ale owszem gorąco je do tego zachęcam. Czy jednak racyonalnem jest przypuszczenie, aby, przy najbardziej nawet sprzyjających po temu okolicznościach, potrzeba kiedy było w kraju naszym, tyle wiejskich gospodyń, ile jest kobiet żądnych pracy. A potem, zkądże ta pewność, że każda z nas nada się do tego rodzaju zajęcia? Nie obliczywszy następstw, jakie sprowadzić może każde nieoględnie wyrzeczone słówko, pisma częstokroć pozwalają sobie puszczać w obieg coś nakształt fajerwerków, błyskających lecz nie świecących jasnem światłem, i aż żal słuchać, jak wiele osób powtarza w dobrej wierze zdania paradoksalne, z takiem namaszczeniem, z jakiem głosiło się niegdyś ewangelią. Na zapewnienie dziennikarskie zdaje się łatwowiernym, że uchwycili oburącz deskę zbawienia, wtedy kiedy ujęli zaledwie mały jej koniuszek.

Na sobie samych mieliśmy przykład najlepszy, jak dalece szkodliwem jest trzymanie się jakiegoś jednostronnego kierunku, ponieważ wszechstronny tylko rozwój odpowiada potrzebom i warunkom ekonomii społecznej. Więc poto kosztem niedoli, klęsk, ruiny i nędzy zdobyliśmy to tak smutne doświadczenie, aby po latach kilku powrócić do tejże samej omyłki i to z zupełną jej świadomością? Albożnie kwitnie u nas przemysł i handel obok rolnictwa? Czy mają te gałęzie pozostać na wieki wieczne w rękach przybyszów? Z obawy pod widmem kobiety-lekarza, kobiety-adwokata, telegrafistki lub kasyerki, godziż się szerzyć widmo obłędu, lub też na tej podstawie, że kilku czy kilkunastu ludzi zbankrutowało na handlu do którego wziąść się nie umieli, bo się nie przygotowali odpowiednio, godziż się odbierać odwagę innym? Uważają kobiety pod wieloma względami za niekompetentne, a lękają się tak bardzo ich współzawodnictwa, jest że to konsekwentnem? Pytanie zresztą, czy współzawodnictwo jest w samej istocie rzeczą tak straszną jak się na pozór wydaje? Patrząc na żydów sądzić by wypadało, że nie. U nich współzawodnictwo w ścisłem tego słowa znaczeniu, nie ma miejsca. Nieraz zdarza nam się oglądać pod tymże samym dachem kilku kramarzy trudniących się zbytem jednakowych produktów, a nietylko że nie lękają się oni konkurencyi, ale przeciwnie dopomagają sobie nawzajem. Pomimo to żyją wygodnie, utrzymują się wraz z rodzinami i niejednokrotnie przychodzą do znacznych kapitałów. Spostrzeżenie to, nie jest mojem własnem, usłyszałam je niedawno z ust rzemieślnika zdrowo i praktycznie rozumującego, że mię zastanowiło, więc je puszczam w kurs dalej. Kto wie, może uwaga ta warta bliższego rozpatrzenia.

F.

Obrazki Warszawskie

ułożone w trzech tomach

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza

ofiarowane

Autorce Kroniki zagranicznej w Bibliotece Warszawskiej

(Dalszy ciąg).

Rozdział XI.

Pierwsze na Pradze mieszkanie rodziny Mikłockich składało się z małej sioneczki, pokoju dość sporego i kuchenki z wyjściem od tyłu. Pokój miał dwa okna z okienicami i otworami w kształcie serca wyciętemi, a belki w powale zamiast sufitu. Pani Mikłocka znalazła belkowanie bardzo ordynarnem, przypominającem ekonomskie pomieszkanie, panienki nie zaprzeczały temu, a nawet przy najmie troszkę pokręciły nosem, ale na wybredzanie brakło czasu i... pieniędzy. Aby mu nadać inny pozór postanowiono podłogę zafroterować, naturalnie jak najtańszym kosztem, bo z wydatkiem panny umiały się bardzo obliczać. Matka radziła aby miejsca pod kanapą, szafami i dywanem, zostawić próżne, a nawet w zapale rzuconej myśli chciała nawet i pod krzesełkami toż samo spełnić, ale Klarka podniosła ramion i matka umilkła zrozumiawszy, że rada jej za niedorzeczną uznaną została. To podnoszenie ramion, karcące niezręczne wtrącanie się matki, używanem było jedynie w domowem otoczeniu bez świadków, przy gościach zastępowało je chrząknięcie znaczące, któremu pani Mikłocka ze ślepem posłuszeństwem ulegała.

— U mego wuja, szepnęła tylko na swe usprawiedliwienie, w przedpokoju do salonu prowadzącym, tylko próg był ufroterowany.

Klarka niewyczerpana w pomysłach rzecz tę praktyczniej załatwiła; pod pozorem wyboru koloru farby, zebrała próbki z różnych sklepów warszawskich i podłoga została zaprawioną, z wyjątkiem miejsca pod dywanem, na które już brakło materyału. Zakłopotało to cokolwiek panienki. Matka też zaraz starała się usprawiedliwić je uwagą, że u wuja na ganku znajdowała się dziura skutkiem wypróchnienia jednej deski w podłodze, a jednak choć niezałatana przez lat wiele, nikt przecie nogi nie złamał.

Uspokoiwszy się z podłogą, zabrano się do przystroju ścian; na nieszczęście najlepsza ich ozdoba lustro, przy przeprowadzaniu stłuczone zostało. Panny patrząc na tak wielką szkodę załamały ręce, matka potakiwała głową i na pociechę oświadczyła, że u jej wuja ekonom w złości wyskoczył raz dymnikiem na ziemię i nie stłukł sobie nawet palca u ręki. Panny nic na to nie odpowiadając, jak to zawsze zwykły czynić na wszystkie rady i uwagi matki, stłuczenie na szczęście w rogu lustra, umocowały papierem a fałdami firanki osłoniły o tyle, że uszkodzenie mniej było widoczne.

Pod lustrem ustawiono kanapę, stół i krzesełka, za każdem silniejszem poruszeniem sypiące próchno i cząstki startej wyściełki. Wysłużeni ci inwalidzi widocznie wypowiadali służbę i na gwałt domagali się zastępstwa; panny ustawiając zniszczone graty, chuchały, wycierały poręcze, zaśpilały obicie i ostrzygały strzępy, sama zaś pani Mikłocka przypatrując się ich czynności z założonemi rękami, przystawała to przed jedną, to przed drugą dowodząc, że u jej wuja wszystkie wyplatane krzesła miały w siedzeniu dziury, i że raz kupiec wełny tak się w jednem zaklęsł fatalnie, że zaledwie go wyciągnięto i postawiono na nogi.

Pomiędzy oknami umieszczono mały stoliczek kulawy na dwie tylne nogi, który bez oparcia o ścianę żadnym sposobem obowiązków swoich spełniać nie chciał. Okryto go siatkową serwetką, a na niej ustawiono kilka filiżanek, kubków i jakichś niby eleganckich gracików, z których każdemu coś do zupełnej całości brakowało. Pomieszczono je jednak tak zręcznie, że wszelkie niedostatki w jednych drugie zasłaniały, a w szczerbę u największej filiżanki włożono flakonik dnem do góry, aby ukryć obtłuczoną u góry szyjkę. Matka przyjrzawszy się temu manewrowi westchnęła szepcząc:

— U mego wuja bywał pan Jędrzej, stary wojskowy bez nogi, to jak siadał zawsze kulę wsuwał pod krzesło.

Na środku pomiędzy temi gracikami ustawiono stary zegar z grupą bronzowych aniołków. Zakurzony, roztrajkotany, często stawał, przy wybijaniu godzin cykał i warczał jak brytan grożąc ukąszeniem, a skazówkami trzymał się zawsze szóstej godziny, bo do wydźwignięcia się w górę brakło mu siły. Panny i na niego znalazły sposób; gdy sam były szedł jak chciał, po każdym objawie lenistwa poruszały go a skazówki stosownie nastawiały. Dość że w razie danym zegar był zegarem, a gdy cykał i warczał z braku dzwonków zagubionych, panny objaśniały, iż wyjęto je umyślnie, gdyż głos miał tak silny, iż matka często cierpiąca na głowę znosić tego nie mogła.

Na trzeciej ścianie zawieszono dwa obrazy jeden nad drugim. Górny tak był zniszczony przez kurz i wilgoć, że tylko na obwodzie można się było domyślać jakby ruin i gałęzi drzew liściami obsypanych. Ze środka wyglądała niby głowa hełmem rycerskim okryta, w której matka upatrywała podobieństwo do sowy, jakich mnóstwo było w starych gruzach majątku jej wuja znajdujących się. Tylko, powiadała, tamtym oczy poruszały się jak ogniki a ta na obrazie zdaje się być ślepą. Oburzało to niezmiernie panny, żeby więc obraz, według ich zdania niezmiernej wartości, zabezpieczyć od tak ubliżających domysłów, umieszczono go w górze, bez możności bliższego mu przypatrzenia się. Pod nim zawieszono portret dawnej daty magnata w kontuszu karmazynowym z sygnetem na palcu a herbem przy głowie. Pani Mikłocka utrzymywała, że mąż

jej kupił go przypadkiem na licytacyi, ale panny stanowczo temu przeczyły, dowodząc że matka zapomniała źródła swojej własności i że portret ten przedstawia jej dziada z linii ojczystej, do którego wielce nawet była podobną. Matka za opór w przyjęciu tego objaśnienia często strofowana, uwierzyła wreszcie w twierdzenie córek i dałaby się porąbać gdyby ktoś śmiał utrzymywać że się myli.

— Pamiętam doskonale, rzekła raz do przypatrujących się dumnej postawie starego magnata, aby utwierdzić ich w mniemaniu, że portret jej rodzonego dziada oglądają; pamiętam doskonale, że kiedy wuja malowano, to stała przy nim tabakierka i wuj żeby nie usnąć raz po raz wyciągał do niej ręce.

Panny aż zapłonęły, starały się różnemi sposoby twierdzenie matki objaśnić, że to miało miejsce przy odnawianiu obrazu a wuj siedział jedynie dla zachowania rysów rodzinnych przez czas na portrecie bardzo zniszczonych. Gdy później dobrze natarły uszów matce za tę uwagę ni w pięć ni w dziewięć, jak się wyraziły, pani Mikłocka żadnym sposobem nie chciała ustąpić, dowodząc stanowczo, że jak malowano wuja stała przy nim tabakierka z tabaką żeby trzeźwiąc się nie usnął i nie spadł przypadkiem z krzesła na podłogę, co raz właśnie miało to miejsce.

— Cóż to jednak ma za związek z portretem dziadka mamy? zapytała Klarka załamując rozpaczliwie ręce.

— Gadaj ty swoje a ja nie ustąpię od tabakierki, odrzekła pani Mikłocka, bom ją widziała na własne oczy, tak jak ciebie widzę stojącą przede mną, kiedy wuja malowali.

Był to pierwszy bunt biednej kobiety i tak utkwił jej w głowinie, że żadnym sposobem nie mogła pojąć, jaką wuj zażywający tabakę przy malowaniu, może stanowić zawadę przyznania autentyczności portretu dziadka, którą wmówiono w nią bez żadnej apelacyi.

Firanki, rozety, doniczki z kwiatami, małe obrazki ze świętymi stanowiącymi niby drogie po krewnych pamiątki, dopełniały resztę przystroju całego mieszkania, gdyż kuchenka była bardzo mała i zaledwie jedno łóżko dało się w niej pomieścić. Drugie ustawiono za piecem oddalonym znacznie od ściany, a dla osłony na sznurku zawieszono starą jedwabną kołdrę, przystrojoną zręcznie grubym sznurem z kiściastym końcem jak grzywa końska.

Wszystkie te porządki robiły same, bez niczyjej pomocy, a nawet Antoniemu, pragnącemu ulżyć w uporządkowaniu zabroniły wstępu przez cały tydzień i na niedzielę dopiero zaproszono. Oczekiwanie to wiele mu przyniosło przykrości; biedak nie mógł się uspokoić, spoglądał to na swój alkierzyk, to na opuszczone mieszkanie rodziny Mikłockich, a gdy w kilka dni w szybie okna ujrzał twarz zupełnie sobie nieznaną, o mało że się nie rozpłakał, tak mu żal i tęsknota serce ścisnęły. Nadeszła wreszcie upragniona niedziela. Antoni przyszedł jeszcze rano i czekał u drzwi kościelnych spotkania się z ukochaną. Nie zawiodło go przeczucie: jakże się ucieszył ujrzawszy samą Franię wychodzącą ze świątyni, w której tak gorące zanosił modły za nią i za siebie. Idąc tuż przy niej, w milczeniu słuchał obszernego opowiadania o całym porządku mieszkania, z którem zaledwie po upływie całego tygodnia zdołano przyjść do ładu. Kiedy wprowadzony do środka przyjrzał się mu uważnie, aż się uśmiechnął tak mu się zdało niezwyczajnem.

— Jak ci się podoba panie Antoni? zapytała Frania.

— Prześlicznie! prawdziwie po pańsku jak w kantorze mego pryncypała. U mnie panno Franciszko nie tak bogato... chociaż radbym.

— Dzień dobry panie Antoni, odezwała się matka wysuwając głowę przez drzwi kuchenki, po za którą pokazała się głowa Klary świeżo uczesana. Antoni ucałował rękę matki, ukłonił się Klarce, a gdy spytano go powtórnie, pochwalił wszystko nawet obrazy jakby je pierwszy raz oglądał.

— Z zafroterowaniem, odezwała się matka składając ręce jak do pacierza... ale nie dokończyła rozpoczętego frazesu, bo Klarka lękając się aby zawiele nie powiedziała, pociągnęła ją silnie ku sobie, a Frania jednocześnie tak szybko drzwi przymknęła, że nos pani Mikłockiej o mało nie uległ wielkiemu niebezpieczeństwu.

Kiedy później w pół godziny rodzina Mikłockich krzątała się około zastawy objadowej, do której i Antoni został zaproszony, Stanisław w podniesionym cokolwiek humorze nocną birbantką, wygraną w karty i małem śniadankiem po drodze razem z Mieczysławem zjedzonem, idąc wałem nad Wisłą rzekł do Mieczysława.

— Ty zatrzymasz się a ja wprzód uprzedzę panią Mikłocką i poproszę o przyjęcie naszej czołobitności. Będzie to z szykiem i z uszanowaniem dla godności domu, który niezmiernie przestrzegają. No, nic dziwnego, starożytny to ród i niezmiernie bogaty, na każdą z panien zawsze coś kapnie z dziedzicznych zasobów krewniaków. Uroda Klarci nie zdumiewająca ale apetyczna, jaką ty lubisz Żyrafko, oko pełne ognia, nóżka jak u łani, buzia rumiana, a kibić cała okrąglutka, pulchniutka...

Mieczysław przełknął i wyciągnął szyję.

— Ostrożnie Żyrafko bo wyskoczysz z fraka, zawołał Stanisław kładąc mu rękę na głowę jakby chciał go wepchnąć w ubranie. Tam się przynajmniej miej na baczeniu i jak chrząknę...

— Eh! nudzisz mnie Lamparcie!

— Sama pani Mikłocka, to skarbnica niewyczerpanych wspomnień z przeszłości. Wprawdzie przy ich spożytkowaniu bywa widocznie roztargnioną, bo nie zawsze właściwie je stosuje, ale spisywane i porządnie ułożone utworzyłyby dzieło niezmiernej wartości. Znawca prawdziwy zająć się tem z pożądanym skutkiem może. Sprobój!

— Zobaczę, odrzekł Mieczysław z przekonaniem znawstwa wartości podobnych materyałów.

Stanisław ujrzawszy całą rodzinę zebraną w salonie, jak Klarka izbinę tę przezwała, szastając, śmiejąc się, powitał wszystkich, a nawet panią Mikłocką w rękę pocałował.

— Cóż to za gość niespodziewany! zawołała Klarka z gniewną niechęcią, nie mogąc darować że ją zawiódł w rachubach jakie miała na niego.

— Czasami bywa taki najlepszy, odrzekł Stanisław głośno śmiejąc się, a najlepszym tego dowodem, że nie tylko sam przybywam aby powitać panie na nowem mieszkaniu, ale nawet przyprowadzam z sobą mego przyjaciela młodzieńca z wielkiemi widokami...

— A gdzież on jest? zapytały obie zaciekawione.

— Przypadkiem spotkałem go przechadzającego się po wale nad Wisłą, ma iść do hrabiego Leona...

— A czy i on jaki hrabia? zapytały panny zastępując od matki aby się przypadkiem nie odezwała. Bo jeżeli hrabia, to...

— Broń Boże! przerwał Stanisław. Pochodzi wprawdzie ze starożytnego rodu, ale panie na tych koligacyach nie opieracie wartości człowieka, mama dobrodzika to żyjące sylwa rerum... i przy tych słowach pocałował panią Mikłocką w rękę.

— Sylwan u wuja mego był na parawanie przylepiony, odezwała się matka; miał dużą brodę i nogi jak koń z kopytami...

— Ach! wrzasnął Stanisław i znowu w rękę matkę pocałował z przesadnem uwielbieniem.

Niespodobało się to panienkom, szczególniej Klarce i byłaby z pewnością dała uczuć rozweselonemu przybyszowi swoje niezadowolenie, gdyby nie obawa pogniewania go a tym sposobem stracenia sposobności zyskania nowej znajomości ze świetnemi widokami. Stanisław także zrozumiawszy że w żartach trochę przesadził, postanowił mieć się na ortrożności, aby nie narazić głównego celu na niepowodzenie. Zobaczywszy więc pochmurzającą się buzię Klarki, wyprostował się i przybierając powagę z uszanowaniem połączoną, mówił dalej:

— Otóż wracając się do mego przyjaciela, dusza to niezmiernie poetyczna, szukająca serca coby ją zrozumiało i współczuciem obdarzyło. Ukończywszy świetnie uniwersytet, czeka na posadę i w służbie może dojść bardzo wysoko, zostać nawet ministrem, bo głowa zdolna pełna nauki. Tymczasem utrzymuje się z własnych funduszów, daje i lekcye ale dla zabawki, bo co dla niego kilka rubli więcej miesięcznie znaczy. Niedawno chorował bawiąc na wsi u bogatego wuja sufragana, który go kocha jak własnego syna; wychudł biedak jak szczapa, rzeczy wyglądają na nim jakby pożyczane, ale pomału wraca do sił utraconych. Doktorzy nakazali mu świeże powietrze i przyjemne towarzystwo, gdybyście więc panie raczyły obdarzyć go pozwoleniem korzystania z waszej staropolskiej gościnności, zrobiłybyście prawdziwą łaskę...

— Ale i owszem, przerwała Klarka ujęta tak pochlebnym opisem nieznajomego młodzieńca, który szuka współczucia dla swej poetycznej duszy. I owszem, dołożyła, hamując swoje zadowolenie, może do nas wieczorami codziennie przychodzić dla odpoczynku.

— I owszem, potwierdziła Frania.

— I owszem, ozwała się wreszcie matka jak echo i sznurując usta dodała: mój wój miał w lesie ławkę, na której zawsze siadał znużony przechadzką.

— Niechże tą ławką będzie wasz dom zacne panie dla mego przyjaciela Mieczysława. Rozmową nie znudzi was bo cały zatopiony w książkach i nie tylko wie co się dzieje i działo na ziemi, ale nawet co Bóg myślał świat stwarzając. Muszę tylko przestrzedz panie, że każda wzmianka o przebytej chorobie drażni go niezmiernie i pomimo znakomitych stosunków nie lubi o nich rozmawiać. Zresztą najlepszy w świecie chłopiec.

Przez czas rozmowy, Antoni siedział na boku i słuchał w milczeniu. Nie umiał objawić odebranego wrażenia, ale mu się całe postępowanie Stanisława niepodobało. Nie lubił go wreszcie przeczuwając fałsz i lekceważenie, ukryte zręcznie nawałem słów niby swobodnie wypowiadanych. Klarka także nie była z postępowania Stanisława zupełnie zadowoloną, ale nadzieja zyskania nowego konkurenta w tak ponętnych warunkach, przeważyła zdrowy jej rozsądek. Że zaś nim zostanie nie wątpiła.

— No, chodź Żyrafko, odezwał się Stanisław do Mięczysława oczekującego na wale powrotu swego protektora. Urządziłem wszystko jak wypada, żeby ci odrazu zaskarbić łaski tak panien jak matki, od ciebie zależyć teraz będzie utrzymanie się na tem stanowisku. Pamiętaj tylko że przebyłeś ciężką chorobę u wuja sufragana...

— Ale kiedy ja nie chorowałem i nie mam żadnego wuja sufragana...

— Że z rozkazu doktora szukasz świeżego powietrza, żeś poetycznej duszy...

— Jakto, zrobiłeś mnie marzącym półgłówkiem...

— I że wreszcie idziesz na południowe zebranie do hrabiego Leona, dołożył Stanisław nie zważając

na przerwy i zarzuty Mieczysława. Chodź braciszku, chodź!

— Czyś zwariował stawiać mnie w tak kłamanych warunkach?

— Co ci to szkodzi, czyś to ty zrobił? Przecież za mnie nie odpowiadasz.

— Zapewne, zawsze jednak...

— Nie bądź dzieckiem, było to koniecznem do ułatwienia wstępu i usprawiedliwienia wizyty. Wszystko ci teraz kochanku pójdzie jak po maśle, później zwalisz na mnie jeżeli zechcesz, lub ograniczysz się do jednorazowej bytności, jeżeli poczciwy dom do którego cię wprowadzę nie trafi do twego przekonania. Chodź!

— Nie, Lamparcie, szalbierstwa podobnego rodzaju nie podobają mi się, zmieniłem zamiar, nie pójdę...

— Czyś oszalał, przerwał Stanisław zaniepokojony tak niespodziewanym obrotem rzeczy. Jakże możesz tak mnie kompromitować? Pójdź ten raz przynajmniej, później zrobisz jak ci się spodoba.

— No to pójdźmy, ale pamiętaj że cię oszczędzać nie myślę i przy każdej sposobności przeczyć będę temu co o mnie nabajałeś.

— Ej! czy takiemi drobnostkami warto się zajmować!

Wchodzący do salonu państwa Mikłockich, znaleźli gospodynie domu przygotowane na przyjęcie wizyty. Matka siedziała na kanapie, obok niej Klarka, a na krzesełkach Antoni przy Frani. Za wejściem powstała Klarka i po przywitaniu i przedstawieniu, nowoprzybyli zasiedli w okrąg stołu trzymając kapelusze w rękach. Mieczysław we fraku za obszernym i za długim w rękawach i stanie, wyglądał dość nieosobliwie, ale przebyta ciężka choroba usprawiedliwiała wszystko. Pani Mikłocka siedziała wyprostowana i szrubując usta chciała rozpocząć rozmowę, ale nie mogła postanowić z jakiej zacząć beczki. Wyręczyła ją Klarka.

— Wielka szkoda, odezwała się, że pan narażał się na przechadzkę po wale. Od Wisły często zawiewa wiatr ostry, bardzo szkodliwy.

Matka poruszyła się i otworzyła usta, ale przeszkodziła jej Frania:

— W samo południe mniej to szkodliwe, ranki są najniebezpieczniejsze.

— Tak jest pani, potwierdził Mieczysław, dla słabych organizmów, ale...

— Czyż jesteśmy doktorami, przerwał Stanisław lękając się dalszych wynurzań Mieczysława, że mamy rozprawiać o wpływach szkodliwych zdrowiu człowieka?

— O zdrowiu, to mój wuj skomponował prześliczne wiersze, odezwała się matka. Szlachetne zdrowie, nikt się nie dowie...

— To wiersz Kochanowskiego, przerwał Mieczysław, czyżby rodzina pani dobrodziejki...

— Ma bardzo liczne koligacye, przerwał Stanisław i zwracając się do portretu na przeciwnej wiszącego ścianie mówił dalej: patrz na ten portret, co to za marsowa postać, jaka sklachetność oblicza! To dziad samej pani Mikłockiej...

— Tak, dziad, potwierdziła matka i chciała dodać szczegół o tabakierce, ale nie dała jej skończyć Klarka:

— Jest nawet podobieństwo z mamą, naturalnie rodzinne...

— O! tak, jak dwie krople wody, potwierdził Stanisław, a nawet i panie rysami swemi zbliżacie się do swego pradziada.

Mieczysław wpatrzył się w malowidło i nie mogąc dopatrzeć tak stanowczo twierdzonego podobieństwa, rzucił spojrzenie na górny obraz. Stanisław chrząknął, Mieczysław odwrócił cozy i zajął swoje miejsce.

— Mój przyjaciel, odezwał się Stanisław, to wielki miłośnik sztuk pięknych...

— Mój wuj, przerwała matka nie zważając na chrząkanie Klarki, sztukami pięknemi nazywał bydło w oborze. Śliczne bo też było...

— Widać wuj szanownej pani, odezwał się Stanisław, był bardzo rozumnym człowiekiem...

— O! tak, kanonik Zagrzelski zawsze powiadał: co rozum, to głowa...

Wielomówstwo matki zaniepokoiło Klarkę, spojrzała na nią ze znaczeniem, ale matka nie dostrzegła tego, bo ze spuszczonemi oczami układała właśnie nowy frazes do rozmowy.

— Powiadał nam pan Stanisław, odezwała się Klarka oparta o poręcz krzesła i zwrócona ku Mieczysławowi, że pan bardzo zajmuje się nauką?

— Tak pani, lubię bardzo czytać...

— I my to samo, tylko czas nam nie zawsze pozwala tak pięknemu oddawać się zajęciu.

— Nic dziwnego, odezwał się Stanisław, przy zakładzie tak świetnie prowadzonym, czas jest bardzo drogim i zamiast kartki w książkach przewracają panie papierki z półsetkami rubli przy liczeniu.

— Żartowniś z pana, przerwała Klarka z uśmiechem zadowolenia że ją o zamożność posądzają; przy dzisiejszych ciężkich czasach...

— Niech się pani nie wymawia, nie jesteśmy suplikantami za pożyczką przybyłemi. Zmieniałem przecie i listy zastawne...

— Ach! jaki z pana gaduła...

— Milczę więc, pieniądze to najdrażliwszy przedmiot, różni nawet braci rodzonych, a jabym rad zawsze szczycić się życzliwością osób tak przeze mnie szanowanych.

— U mego... odezwała się pani Mikłocka i nagle umilkła, bo Klarka aż dwa razy chrząknęła.

— Co pani dobrodziejka mówi? zapytał Mieczysław i także umilkł, bo chrząknął Stanisław. Mieczysław poprawił się na krześle czując grajcarkowe działanie ukrytej w nim sprężyny.

Stanisław chrząknął i ponawiał to ciągle, jak tylko zobaczył że Mieczysław się kręci. Bawiło go to a Mieczysława drażniło. Stanisław prawie dusił się tłumiąc śmiech w sobie, Mieczysław także dławił się ale ze złości na kolące swe położenie.

— Czy zwaryował z tem chrząkaniem, myślał sobie Mieczysław i zwracając się do Klarki zapytał:

— Zapewne panie liczne mają stosunki w Warszawie?

— Dosyć, z czasem je jeszcze rozszerzymy, bo tego wymaga nasze zajęcie. W domowem jednak otoczeniu ograniczamy się na szczupłem kółku prawdziwych przyjaciół. To nam wystarcza zupełnie...

— Tak, wystarcza, potwierdziła matka, a pan Anzelm powiada, że nigdy nie może panu Bonawenturze wystarczyć w chodzie.

— Nic dziwnego, pan Anzelm jest starszy od pana Bonawentury, wtrąciła Klarka chcąc ułagodzić dziwactwo odezwania się matki.

— To jeszcze przyjaciele naszego ojca, odezwała się Frania spoglądając na Mieczysława, który przerzucał oczami po wszystkich jakby szukał wyjaśnienia jak ma panią Mikłocką uważać, czy przez sen mówiącą, czy marzącą na jawie.

Rozmowa dalsza potoczyła się o potocznych sprawach warszawskiego życia: o teatrze, spacerach, Saskim ogrodzie, książkach i pismach peryodycznych troszeczkę znanych panienkom i przy baczności Stanisława tak się rozwijała, że nigdy nie zadrasnęła drażliwych kwestyi jakich starał się unikać. Chrząknieniem przytem trzymał Mieczysława jak motyla przybitego na śpilce.

— Co do biegu literatury, odezwał się Stanisław rozweselony powodzeniem, to przyjaciel mój Żyrafka jest prawdziwym katalogiem.

Na nazwę Żyrafki, Mieczysław skręcił głowę ku mówiącemu i spojrzał na niego znacząco.

— Nie gniewaj się, nie gniewaj, mówił dalej Stanisław poznając swoje zapomnienie. Przecież z tytułu twej eurudycyi nazywamy cię uczonym.

— Jakże to pięknie! odezwała się Klarka, zasłużyć na tak zaszczytny koleżeński tytuł.

— Oceniam pochlebne zdanie pani, mruknął nieśmiało zadowolony jednak Mieczysław, ale przyjaciel mój Stanisław czasem bywa zbyt gadatliwym, a gadatliwy zwykle słowami szasta bez wyboru, sądząc że jest w menażeryi.

— W menażeryi! powtórzyła Klarka zdziwiona.

— Tak, tak, gaduła jak ja potknie się często, potwierdził Stanisław ze śmiechem. Bądź jednak spokojnym, umiem się potknąć ale i zerwać na równe nogi. Ha! ha! ha!

Towarzystwo całe zawtórowało pół uśmiechem wesołości Stanisława, z czego korzystając matka rzekła trzeźwiąc się z napadającej ją drzemki:

— Koń rządzcy u mego wuja jak się raz zerwał na nogi z potknięcia, to tak łbem uderzył w brodę rządzcę, że mu sto płomieni zamigotało w oczach.

— Wierzę, bardzo wierzę pani dobrodziejko, potwierdził Stanisław, ale widać że głowę miał ogniotrwałą, skoro mu się nie spaliła.

— Naturalnie, potwierdziła matka i zasznurowała usta.

Mieczysław choć zwykle skrzywiony i kwaskowaty, ale o mało nie parsknął śmiechem; Stanisław spojrzawszy na Klarkę uspokoił się natychmiast; lekka chmurka gniewu zaniepokoiła go.

Naprawiając wybryk żartobliwości zwrócił się do Klarki.

— Pomijając żarty, kolega mój Mieczysław rzeczywiście zajmuje się naukami szczególniej pozytywnemi. Gdy go panie bliżej poznacie, przekonacie się o skarbie jego wiadomości...

— Ależ nie przesadzaj, przerwał Mieczysław z udaną skromnością. Skromne moje wiadomości...

— Daj pokój bratku, wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi...

— Sąsiad mego wuja pan Jacenty, to powiadał: wiedzą sąsiady, jaki kto do rady.

— Skromność pana godna największej pochwały, odezwała się pospiesznie Klarka. Rozumna rozmowa zawsze jest nauczającą, któż jej nie pragnie.

Klarka wlepiła oczy w Mieczysława z takiem zajęciem, że jak się później wyraził Stanisław, Żyrafka o mało nie zapłonął ogniem jak ogórek w lampie. Spojrzał i on na nią i dostrzegł, że ma oczy pełne ognia i figlarności. Uśmiechnął się, uchylił głowę i owładnięty dwoma prądami pochlebstwa i zalotności wyszeptał:

— Czy rozumna będzie przy bliższem poznaniu, przewidywać nie mogę, zaręczam jedynie, jeżeli to panią nie obrazi, że radbym aby sposobność do niej jak najczęściej się zdarzała.

— Bardzo wdzięczną jestem za dobre chęci, a spełnienie ich zupełnie od niego zależy, my przynajmniej z naszej strony żadnej przeszkody nie nastręczymy.

Przez czas tej rozmowy cokolwiek przyciszonej, Stanisław zwrócił się do Antoniego, a Klarka szepnęła matce aby Mieczysława zaprosiła na wieczór dziś jeszcze, jako przy dniu niedzielnym.

Pani Mikłocka potwierdziła skinieniem głowy i żegnającym się obdarzyła zaproszeniem bez żadnych dodatków nadzwyczajnych. Stanisław na

podziękowanie pocałował matkę w rękę, szturchnął kolegę aby to samo spełnił, a gdy Mieczysław nachylił się, pani Mikłocka przycisnęła usta do jego głowy z głośnem cmoknięciem.

— Poczciwy chłopiec, odezwała się po wyjściu gości oczy obcierając. Tak mi żywo przypomniał syna mego nieboszczyka Andrusia. Starszy o dwa lata od Klarki, miałby teraz...

— Jakiż to przyjemny młodzieniec, przerwała Klarka zwracając się do Antoniego. Wszak prawda panie Antoni?

— Tak jest pani, tylko...

— Bardzo przyjemny w rozmowie, a jaki skromny. Antoni umilkł, chciał się troszkę wyrazić niekorzystnie o nowej znajomości, ale nie śmiał sprzeciwiać się zdaniu wielowładnej pani domu.

— Wiesz co Franiu, odezwała się Klarka wychodząc z siostrą do kuchenki, mam przeczucie co do tego Mieczysława, że znajomość z nim nie będzie daremną. W każdym razie rachując na przyszłość, widoki ma świetne, tylko mnie straszy jego wychudzona po chorobie postać. Zwykle tacy rekowalescenci ogromny mają apetyt, może nas zjeść z nogami i kiedy sobie przypomnę żarłoctwo Stanisława...

— Nie kłopocz się, jakoś to będzie moja droga. Antoni i pod tym względem wart...

— Ach! dajże mi pokój z tym twoim Antonim. Nie mogę pojąć jak możesz tak się nim zajmować. Pamiętaj ty romansowa dziewczyno, że Bonawentura ma cztery razy większe od niego dochody.

Frania westchnęła, ale przyznała w duszy że siostra ma słuszność.

Kiedy młodzi nasi wyszli z mieszkania rodziny Mikłockich, Stanisław zwracając się do Mieczysława zapytał:

— No i cóż, jakże ci się rodzina Mikłockich podobała?

— Wytłomacz mi się najprzód, odrzekł Mieczysław, dlaczegoś tak chrząkał niemiłosiernie...

— Kręciłeś się równie niemiłosiernie...

— Jakże nie miałem się kręcić, kiedy byłem pewny że siedzę na rożnie...

— I ja czułem pod sobą jakby wielki śpikulec, a jednak...

— Taki byłem zły na ciebie...

— No — no — uspokój się kochany Żyrafko...

— Ach! za ten tytuł byłbym cię przez okno wyrzucił...

— Byłoby to troszkę kłopotliwe, ale wiesz co, że znalazłeś się po Napoleońsku, tym zgrabnym zwrotem do menażeryi i gdyby nie zadziwienie Klarki i jej wielkie oczy, byłbym cię uściskał.

Mieczysław uśmiechnął się zadowolony porównaniem z Napoleonem i mruknął:

— Z takim jak ty Lampartem trzeba sobie umieć radzić.

— Tak, tak Żyrafko, ty umiesz sobie radzić, ale powiedz mi, jakże ci się podobała rodzina Mikłockich?

— Frania to apetyczna dziewczyna.

— Ba, ba, ba, to powiadam ci skarb nieoszacowany. Co za głowa rachunkowa, jaki rozum! Ona wszystkiem w domu, gdy wyjdzie za mąż, to przy pomocy męzkiej ogromnej dorobi się fortuny. Szczęśliwy na kogo wybór jej padnie...

— Zapewne, a jakie ma ogniste spojrzenie...

— Widzę że zapalasz się Żyrafko, ale cóż powiesz o matce?

— Poczciwe jakieś kobiecisko, tylko strasznie majaczy.

— Nie była dziś przy sztosie, zwykle więcej jest zajmującą...

— Pocałowała mnie w głowę przy pożegnaniu...

— To zapewne w przeczuciu przyszłego błogosławieństwa.

W domu zastali Maciusia wybierającego się do wyjścia już w kamaszach tak niecierpliwie oczekiwanych. Na zapytanie o szczegóły odbytej wizyty, nic nie odpowiedziano; Mieczysław zadumany zaraz się zaczął krzątać około zmiany garderoby.

— Czy Żyrafka na wizycie oniemiał? zapytał Maciuś.

Stanisław skinął na niego i zbliżywszy się szepnął:

— Nie przeszkadzaj Żyrafce w uczonych kombinacyach. Wszystko dobrze, wypas pewny, a może... i weselisko, tylko ani mrumru!

Maciuś przerzucił oczami po obu przyjaciołach, kiwnął głową i wyszedł z domu.

(d. c. n).

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY

do Południowych Stanów Zjednoczonych, w 1875—1876 r.

PRZEZ

Sygurda Wiśniowskiego.

(Dalszy ciąg).

Opuściwszy Saint John wpłynęliśmy wieczorem do rzeki Oklahawy. Tu zarzucono kotwicę do świtu, gdyż kapitan nie umiał znaleźć drogi pomiędzy flotą wysp pływających. Z brzaskiem zaczęła się dziwna żegluga po labiryncie ze szlaków wodnych, pomiędzy ruchomemi wysepkami. Silniejszy cios wiatru przesuwał czasem te wyspy i zatykał znany kanał; wtedy wypadało powracać i szukać innego przejścia dla Marionu. Te dziwadła zwane pływającemi wyspami, bujają u ujścia Oklahawy do Saint John od niepamiętnych czasów. Możnaby na nich budować domy i uprawiać ogródki, gdyby kto pragnął mieszkać na ruchomym lądzie. Nie wiem, dla czego kapitan Peters nie przeniósł swojej szopy i menażeryi na taką wyspę.

Żegluga po Oklahawie zapoznaje z blizka z olbrzymiemi cyprysami o popielatej korze. Obejmują one rzekę z obu stron, wyrastając z wody i rozpościerając konary tak szeroko, że płynęliśmy niekiedy pod sklepieniem z liścia. Promyki słoneczne przenikały ten baldachim nakształt rzeszota, zasypując złotemi centkami pokład i rzekę, świecąc na kroplach rosy, co drgała na kwieciu przy brzegu, oraz na perełkach wodnych sypanych z koła parowca. Z pod sztaby statku zrywały się wodne indyki, białe i siwe czaple, różane mewy. Te migają nakształt rubinowych grotów, gdy przebiwszy się przez gałęzie, szybują w świetle słonecznem. Rzeka wiła się do tego stopnia, że nieraz sądziliśmy, iż las otaczał nas zewsząd, że nie wypłyniemy z matni pomiędzy szpalerami cyprysów. Jeden ruch steru, zwrot nagły... widzimy wyjście... wypływamy w długą aleję o wodnym szlaku. Szerokość rzeki nie wynosi w niektórych miejscach nad 10 kroków... zrywamy kwiatki z pasożytów, obwijających pnie cyprysowe... burty ocierają się prawie o obydwa wybrzeża... po chwili szybujemy po szerokiem jeziorze.

Okręcik nasz musiał w węższych miejscach przyciskać się często do brzegu, ustępując przed galarami, na których bieliły się góry puchów bawełnianych. Załogę tej leniwej floty tworzą zawsze murzyni. Las drży od ich śpiewów, a wiosłami pluskają w takt z piosenkami. Gdy statek nasz zatrzymał się dłużej w jednem miejscu, wchodzili na pokład ludzie białej cery, ogorzali, brodaci tubylce, ofiarowujący na sprzedaż indyki, a czasem i jelenie. Pierwszych nie kupowano, albowiem mogliśmy je strzelać z pokładu, a Marion przystawał w razie trafnego strzału i posyłał łódkę swoją po zabitą zwierzynę. Czy kto słyszał kiedy o takiej żegludze!

Ta romantyczna podróż trwała do nocy. Po zachodzie słońca zapalono pochodnie. Przy ich świetle purpurowem posuwaliśmy się zwolna w głąb pustyni. Jakżeż fantastycznie wyglądały drzewa i ludzie w tej iluminacyi, jak dziwnie odbijały się w rzece płomienie pochodni i kłęby dymu nad niemi! Łuna naszych łuczyw oblała bór sędziwy groźną powagą.

Czasem, nakształt oazy śród puszczy kniejów, przesuwało się obok statku małe karczowisko z chatką w środku, której szybki mrugały na tle nocy światełkami lamp, przy których siedziały pustelnicze rodziny strzelców i siekierników, tworzących ludność tego dziewiczego boru.

Rano uwiązano Marion do cyprysu przy ujściu rzeki wypływającej ze Srebrnego źródła do Oklahawy. Zawieziono nas w łodziach do źródliska. Wygląda ono nakształt szerokiej, okrągłej sadzawki, otoczonej zewsząd lasem. Patrząc w toń widzimy, że 40 stóp pod nami woda wytryska z dna sadzawki, zupełnie jak się to dzieje w krynicach polskich. Zdroje wyrywające się z pod ziemi ciskają wysoko piasek i muszle. Zgadniecie ile wody dobywa się tu z pod ziemi w tem miejscu, gdy powiem, że okręt liniowy bujałby na sadzawce Silver Spring, i że wypływa z niej bystra, głęboka, spławna rzeka. Nie słyszałem ani czytałem o żadnem innem źródle na ziemi, któreby rodziło rzekę. Żaden opis nie da pojęcia o obfitości i czystości Srebrnego źródła. Wspomniałem, iż ma 40 stóp głębokości, jednakże widzimy dno wyraźnie!

Roślinność przy tem źródle wydała mi się rozkoszniejszą, bogatszą w pstre kwiecie, niż gdziekolwiek we Florydzie. Angielski poeta Wordsworth napisał, iż każdy kwiatek cieszy się życiem; tu musi im być podwójnie błogo, gdyż kąpią stopy w wodzie jak lód zimnej, a główki wygrzewają w słońcu tropikalnem.

Marion przyjmował ładugę bawełny przysłanej z plantacyi za lasem. My tymczasem dokuczaliśmy aligatorom, których mnóstwo przebywa w rzece wypływającej ze Srebrnego źródła. Wioślarze murzyni podwozili nas do śpiących potworów na brzegu; z odległości kilkunastu kroków paliliśmy do jaszczurów ze strzelb i rewolwerów, nie sprawiając im krzywdy, lecz przerywając drzemkę i wpędzając je do rzeki. Skoro plusnęły do wody wypadało uciekać całym pędem wioseł, bo aligator nie lubi żartów i rozbudzać się w niewłaściwej porze.

Powróciwszy na statek zastaliśmy pokład zawalony pakami i worami bawełny. Trudno było ruszać się na nim. Panie narzekały, mężczyźni kłócili się z kapitanem, ale on, mając już nasze pieniądze w kieszeni, zbywał skargi i protestacye obojętnie. Nawet mruknął, że możemy wracać pieszo do Palatki, oddalonej tylko o dzień drogi lądowej, gdyby można podróżować w prostej linii przez bory i bagniska. Nikt nie przyjął rady i zostaliśmy na statku.

Gorszem towarzystwem od bawełny było grono księży, z sekty metodystów. Powracali oni z soboru prowincyonalnego w Tellahassee. Kto oswoił się z życiem amerykańskiem nie spodziewa się spotkać wykwintnych gentleman'ów w kaznodziejach skraj-

nych sekt protestanckich. Wszak kowal lub fermer, który tłomaczy swoją odrazę do pracy natchnieniem Ducha do szlachetniejszego, a co lepiej, mniej uciążliwego powołania, zmienia się w wędrownego kaznodzieję. Gdziekolwiek zjedna najpierw swoją wymową kółko wielbicieli, zakłada parafię, buduje kościół (najczęściej na kredyt), zbiera kwartalne raty od owieczek co wysiadują każdej niedzieli ławki w tym kościele, żyje z kaplicy jak ze sklepu i tytułuje się *reverend* (wielebnym). Pomiędzy murzynami wiedzie się najlepiej tym samozwańczym nauczycielom. Obejście, rozmowa, naiwne ograniczenie w rzeczach wyższych, przebiegłość w sprawach swego zawodu i wyzyskiwanie tych czarnych, czekoladowych kapłanów, tworzą niewyczerpany temat opisu dla zamorskich humorystów.

Przybysze na nasz statek należeli do najniższej warstwy tego rodzaju ludzi, z wyjątkiem jednego Anglika, misyonarza, który organizował cały metodyzm tej prowincyi. Nie wiem ażali pracował z interesu lub z poświęcenia, ale wiem, że traktował swoich czarnych kolegów nakształt żaków. Człowiek ten słynie we Florydzie z energicznej propagandy metodyzmu pomiędzy murzynami. Teraz udawał się wprost do Jacksonville, ze skargą na mayor'a (burmistrza) jakiejś mieściny, w której miewał kazania i starał się stworzyć gminę metodystów. Biali rządzili miastem i sprzeciwiali się wszelkiej propagandzie pomiędzy czarnymi, chociażby religijnej. Po rozmaitych dokuczliwościach zaciągnęli misyonarza przed burmistrza, który znieważył go osobiście, uderzając kilkakrotnie. Kapłan jechał więc ze skargą na to bezprawie. Sekta metodystów jest najpotężniejszem stowarzyszeniem chrześciańskiem w Stanach Zjednoczonych. Nie wątpię, że cała potęga jej organizacyi wywarła swoją zemstę na burmistrzu. Podobne awantury przedstawiają dobitniej rozprzężenie społeczne na Południu i zawiść ras, przechodzącą w prześladowania religijne do tomów rozpraw parlamentarnych.

Łatwo prawić o samorządzie, równouprawnieniu i swobodzie w społeczeństwie uorganizowanem, jednolitem. Lecz gdzie zaprzeczają pierwszym zasadom społecznym, gdzie wszyscy walczą przeciw wszystkim, tam nie podobna zastosować filozoficznych i sentymentalnych trybów rządzenia. Wątpię, czy istnieje zagorzalszy zwolennik postępowych zasad ode mnie. Ale gdyby mi dano Południe na własność, ufałbym bardziej w pułk uzbrojonych drabów, niż parlamenty i wolną prasę. Pamiętajmy że tam nie ma ani konserwatyzmu ani liberalizmu rozsądnego. Wszyscy chcą burzyć, nikt nie chce budować.

Moją uwagę odwrócił od metodystów murzyn, opowiadający wszystkim turystom na pokładzie swoje kłopoty. On także wsiadł tu na statek, udając się do Palatki po adwokacką radę. Filut sternik okrętowy pokazał mu adwokata z Chicago, więc nasz murzyn napadł go, żeby dostać radę bezpłatnie.

— Przed wojną, mówił on, odnajmował mnie pan kapitanowi statków handlujących po Oklahawie i Saint John. Niech „wasza cześć“ wybaczy (dodał skrobiąc się w kudłate ciemię) że wspomnę o interesie familijnym. Kiedy człowiek tak wciąż pływał z Jacksonville do Srebrnych źródeł, nie mógł obstać z jedną żoną. Więc miałem babę tu i tam, aby człek mógł dostać w każdym porcie czystą bieliznę i mieć towarzystwo. Ale po wojnie, gdy wypadało na własny chleb zarabiać, i niewiasty porzuciwszy swoich panów, zwróciły się do mnie o utrzymanie, wyrzekłem się służby wodnej i zacząłem nosić wory pocztowe wzdłuż osad przy brzegu morskim. Ciężka to służba... człek musi brnąć przez bagna, a w nich bywają aligatory. Konie nie mogą chodzić w gęstwinach... wszystko noszą posłańcy. Więc skoro złożyłem trochę grosza i myślałem że baby zapomniały o mnie, wróciłem na rzekę. Kupiłem prom. Takiego statku nie posiada nawet żaden mulatta. Ale ja nie jestem dumny, chociaż jestem kapitanem! Mam na galarze kajutę z kuchnią, sypialnią i klatką dla porucznika i chłopca (to moja załoga). Wszyscy nazywają mnie panie kapitanie i dobrze mi się dzieje spławiając bawełnę.

— Winszuję ci, wtrącił adwokat.

— Ach, niech wasza cześć nie winszuje. Skoro baba, co mieszkała dawniej w Jacksonville, usłyszała że mi idzie dobrze, przyznała się do mnie. Po wojnie tutejsza umarła, tamta zaś poszła do Georgii. Ale ktoś jej posłał słówko, że temu murzynowi (tu dotknął pierś własną palcem) wiedzie się, i że ten murzyn wziął młodą żonę, nie po dawnemu już ale w kaplicy.

— Jakże bywało po dawnemu?

— Pan dał i pan mógł odebrać. Ale gdy nas wyzwolili to i zrobili prawo, że każdy chłop musi trzymać się tej żony, którą miał w dzień proklamacyi. Otóż w ten dzień odpoczywałem u swojej pani w Jacksonville. Dla tego ona teraz przyznaje się do mnie, i przyszła na mój galar, a od kiedy przyszła wciąż się bije z tamtą. Więc też wybrałem się do adwokata, po radę, która z nich do mnie należy. Pierwszą dał pan i proklamacya, ale 8 lat nie widziałem jej na oczy. A drugą dał pastor i (tu zniżył głos) człekby ją wolał. Co też ja wycierpiałem od tych bab, od kiedy się zeszły! A galar leży bezczynny, więc i pieniędzy dużo tracę.

— Jeżeli 8 lat minęło od czasu jak nie widziałeś tamtej, twój drugi ślub jest ważny, rzecze adwokat. Siedm lat rozstania zastępuje rozwód, we Florydzie.

— Ale jakże ja się pozbędę starej baby?

Na to adwokat nasz nie umiał poradzić, więc pan Sambo wydął usta pogardliwie i mruknął, że ci północni prawnicy nie wiele umieją. Popłynął do Palatki, ale nie wiem czy znalazł tam pomoc, celem wyrugowania odprawionej żony ze swego galaru.

Ledwie że ta scena skończyła się, wypadało rozdzielić czarnych metodystów i olbrzymiego baptystę, także w sukni klerykalnego kroju i czarnym krawacie. Ten pan także powracał z misyi. Chełpił się przed metodystami, że odciągnął od ich gmin wielu członków. Ztąd zwada... omal do guzów nie przyszło. Kapitan przeszkodził ręcznemu starciu, napędziwszy metodystów na jedną stronę stosu z worów bawełny a baptystę na drugą. Wciąż jednakże walczyli językami. Pastor chrzciciel przekrzyczał przeciwników wołając:

— Wszystkich wam odbiorę! Każdy przejdzie na moje, bo mam wymowę i umiem wytłomaczyć swoje dogmata. Wy uczycie śpiewać hymny a ja chrzczę. Zbiorę tuzin młodzieży i idę z niemi do rzeki. Oni lubią to. Nie jeden chciał mnie już podejść. Chociaż ja sam ochrzciłem go przed rokiem, myśli, że zapomniałem o nim, i skoro powróćę na misyę znów chce iść do rzeki. Ale mam dobrą pamięć! Jednak czy to nie dowód zapału dla mojej nauki? Od każdego z nich dostanę pięć dolarów łatwiej, niż wy jednego.

Ten ostatni argument zbił przeciwników z konceptu, więc umilkli.

— To sprytny murzyn, mówił sługa okrętowy do nas! Już dwa razy posłował w sejmie. Wyszedł źle na tem, to prawda, bo go stawiono przed sąd, za jakieś tam sprzedawanie głosu, gdy wybierano senatora. Byłż to sąd honorowy z trzech deputowanych, dwóch murzynów i jednego Yankesa torbiarza. Uniewinnił wszystkich, ale pastor nie bawi się już w politykę. Gdyby jednak plantatorowie wzięli górę w sejmie stanu, musiałby się wynieść z Florydy, gdyż strasznie dużo zbroił przeciw nim i należał do wszystkich sprawek z torbiarzami.

Sam pan misyonarz murzyński wytłomaczył nam przy sposobności tajemnicę swojego powodzenia w walce z metodystami o owieczki. O ile zrozumiałem jego teologią, odgrywał w niej nie małą rolę święty Jan Baptysta. Kościół, tak on mniemał, nie wspomina o Janie Metodyście, Episkopalnym lub Metodyście. Jeżeli taki święty należał do Baptystów, śmiałżeby prosty murzyn wyłamywać się z pod jego przykładu, szukać innych Bogów?

(d. n.)

Literatura zagraniczna.

ZIEMIE NIEBA.

Astronomiczny, fizyczny, klimatologiczny opis planet wraz z ziemią krążących około słońca, oraz przypuszczalny stan życia na ich powierzchni.

Kamila Flammariona.

Streszczony przez

Joannę Belejowską.

X.

Uran.

Otoż stajemy na krańcach państwa słonecznego, których odkrycie zawdzięczamy ostatnim zdobyczom astronomii. Dla starożytnych Saturn zamykał granice układu słonecznego, i mniemanie to przetrwało aż prawie do końca ostatniego wieku. Umysł ludzki, zazwyczaj swoją miarą mierzący wszechświat, nie śmiał przekraczać tych krańców; a jeźli próbował przedstawić sobie, nieznaną otchłań roztaczającą się za nimi, to odległość Saturna, dziesięć razy większa od tej jaka nas dzieli od Słońca, wydawała się już tak bezmierną, że nieśmiano przypuszczać by po za nim mogły jeszcze znajdować się gwiazdy. Aż tu nagle astronom angielski William Herschel; jednym skokiem posunął granice układu z 355 do 733 milionów mil. Nowo odkrytą planetę nazwano Uran.

W tak to znacznej odległości od głównego centrum dróg planetarnych, Uran odbywa powolny swój obrót trwający 84 lat naszych. Tak więc każdy rok Urana równa się 84 ziemskim. Zatem dziecię mające tam lat 10, liczy 840 lat ziemskich; dziewica ośmnastoletnia, liczy tam ni mniej ni więcej tylko 1,700 wiosen, a starzec stuletni, przeżył 8,400 lat naszych, a zatem urodził się na 4,000 lat przed wzniesieniem piramid.

Droga jaką opisuje Saturn, wynosi 2,300 milionów mil, i przebiega ją w 30,686 dniach, z prędkością mniejszą niż Ziemia, to jest 62,980 mil na dzień, czyli 6,700 metrów na sekundę. Objętość tej planety jest 74 razy większa od Ziemi. Jest ona najmniejszą z czterech planet zewnętrznych, ale jeszcze zawsze daleko większą niż cztery razem wzięte planety: Merkury, Wenus, Ziemia i Mars. Masę Urana można było oznaczyć według prędkości z jaką jego satelici obracają się koło niego, oraz przez wpływ jaki tenże wywiera na Neptuna; waży on 14 razy więcej niż nasza Ziemia. Z tego wynika że materya z jakiej się składa jest daleko lżejszą od tej z jakiej się składa nasza Ziemia: gęstość wynosi jedną piątą naszej, jest silniejszą niż gęstość Saturna, ale słabszą niż Jowisza.

Ciężkość oddziaływa nieco słabiej na powierzchni Urana niż na powierzchni Ziemi, tak że warunki

równowagi i ruchu ciał są prawie takie jak u nas, z tą różnicą że ciała są tam złożone z mniej gęstych substancyi.

Dotąd nie można jeszcze było oznaczyć stanowczo, w jakim okresie czasu Uran obraca się około swej osi, z powodu małości dostrzeganej z Ziemi tarczy tej planety, ale musi on mieć pewnę analogią z obrotem Jowisza i Saturna, gdyż satelici jego obracają się bardzo prędko.

Trzeba tu zwrócić uwagę na zadziwiającą okoliczność: satelici Urana nia obracają się jak inne. Czy zwrócimy nasze dostrzegania na Ziemię, Jowisza, Saturna lub Neptuna, księżyce ich obracają się od zachodu na wschód na planie równików tych planet, a plan ten nie tworzy znacznego kąta z kątem ich dróg około Słońca. Przeciwnie zaś satelici Urana obracają się od wschodu na zachód, na planie prawie prostopadłym temu na jakim obraca się planeta. Z tego można wnioskować że oś obrotowa Urana jest prawie położona na planie jego drogi, i że Słońce obraca się pozornie na niebie uranskiem z zachodu na wschód. Tak więc jest to prawie świat przewrócony na wywrót, ale nie koniec na tem. Ponieważ równik szczególniejszego tego świata pochylony jest pod 76° słońce urańskie oddala się w ciągu biegu długiego jego roku do tejże samej szerokości; jest to tak coś jak gdyby nasze Słońce opuściło zadziwione niebo środkowej Afryki i zwrotników aby przenieść się w strefy północne, gdzie nasi eksploatorowie poszukują, szczególniej od ostatnich lat dziesięciu, wśród lodów, samotności i zmroku, tajemniczej drogi do bieguna. Pory roku są jeszcze dziwniejsze niż na Wenus, gdyż strefy równikowe nie są tam więcej uprzywilejowane niż północne. Tak więc odnośnie do Ziemi wszystko tam idzie na odwrót,

Lecz z drugiej strony jakież mogą być pory spowodowane słońcem 390 razy mniej grzejącem jak nasze. Uran jest 19 razy więcej niż Ziemia oddalony od Słońca, zatem przedstawia mu ono tarczę 19 razy mniejszą w średnicy, a zatem 390 razy mniejszą powierzchnię. Gdyby przedstawić pozorną wielkość Słońca widzianego z Ziemi, przez okrąg mający 19 centymetrów średnicy widziany z Urana, okrąg ten przedstawiłby tylko 1 centymetr średnicy. Małe to Słońce urańskie rzuca tyle światła co 1,584 księżyców pełni, a chociaż mniejsze, jest równie olśniewające jak nasze.

W takich warunkach światła, nie mógł się wytworzyć nerw optyczny taki jak na Ziemi. Mieszkaniec Urana przeniesiony w nasze światło, olśniony niem wzrok by utracił. Oczy ich stworzone są do światła umiarkowanego, a jak u nas lepiej widzący w nocy jak we dnie należą do nader rzadkich wyjątków, tam znowu jest to powszechną regułą. Zdaje się mogą widzieć gołem okiem gwiazdy 7 ej wielkości.

Analiza widmowa wykazała istnienie atmosfery na Uranie. Różni się ona od naszej własnością pochłaniania i podobniejsza jest do atmosfer Jowisza i Saturna niż do ziemskiej, oraz zawiera w sobie gazy *nie istniejące na naszej planecie.*

Jest to więc świat pod każdym względem różniący się od naszego, o tyle, jeżli nie więcej jeszcze jak warunki zamieszkalności ciemnego dna naszych oceanów, różnią się od warunków zamieszkalności oblanych słonecznem światłem gór Ameryki Południowej. Ztąd trzeba koniecznie wyprowadzić wniosek, że nie może być zamieszkany... przez podobne nam istoty. Pomimo długości lat swoich, klimat i pory roku są tam bardzo odmienne, a żyjące w nich istoty muszą odznaczać się słabą gęstością materyalną i wielką czułością. Jakże to długie lata a może i długie życie można tam poświęcić badaniu przyrody, odkrywaniu tajemnic Wszechświata, rozkoszom pracy umysłowej i szczęściu kosztowania silnych i głębokich uczuć, o których rozbicie nieustannie lękać się trzeba na prędko obracającej się planecie naszej.

Ostatnie obserwacye astronomów Waszyngtońskich, stwierdziły dowodzenia Lassetl'a, że Uran posiada czterech satelitów. Łatwo pojąć że skoro z powodu tak wielkiej odległości, sama planeta Uran ukazuje nam tak małą tarczę iż przez najsilniejsze narzędzia nie można było dostrzedz na nim ani chmur ani istotnych zmian, jej czterech satelitów przedstawiają się jakby tylko punkta matematyczne, których nie dało się jeszcze ani zmierzyć ani zważyć. To tylko pewna że są to dość rozległe światy, większe niż małe planety krążące między Marsem i Jowiszem, i równie jak one mogą być siedliskiem życia.

Świat gwiaździsty przedstawia się z Urana tak prawie jak z Ziemi, ale nie można tego powiedzieć o układzie słonecznym. Merkury i Wenus są tam zupełnie nieznane, zarówno jak nasza Ziemia. Mały nasz światek nietylko jest tam niewidzialny z powodu swej małości, ale nadto niknie on w promieniowaniu Słońca, od którego nie oddala się więcej nad 3 stopnie. Tak więc dla mieszkańców Urana i my i Ziemia nasza zupełnie *nie istnieje.*

(d. c. n.)

Wiadomości naukowe z Paryża

zebrane przez K. G.

Przed wejściem na pole teatralne, opowiem małą historyjkę dotyczącą wielkiego pisarza, również dobrze znanego u nas jak we Francyi, bo Wiktora Hugo. Przy całej poezyi i bujnej wyobraźni, zna on podobno wartość pieniędzy do najwyższego stopnia, wedle starego przysłowia za nim zmieni dukata to go obejrzy dwadzieścia razy. Ma ustaloną też reputacyą skąpstwa a nawet samolubstwa. Skoro w Senacie domagał się amnestyi dla komuniarzy, to oświadczył: że wielu rodzinom tych nieszczęśliwych udziela stałe wsparcia miesięczne. Jeden z dzienników monarchicznych, zawezwał go publicznie o wymienienie nazwiska i adresów osób przez niego wspieranych, zobowiązując się ze swej strony udzielić im dwa razy tak wielką zapomogę.

Wezwanie to zostało bez odpowiedzi, chociaż nastręczoną była sposobność zrobienia dobrze drugim, bez najmniejszej krzywdy dla własnej kieszeni.

Z powodu wznowionego dramatu Wiktora Hugo pod tytułem Hernani zaszła okoliczność nie mniej znacząca.

Prawa autorskie we Francyi nie są nigdy przedawnione. Ile razy jaka sztuka jest graną tyle razy sprowadza korzyści szczęśliwemu jej twórcy. Hernani przyniósł już Wiktorowi Hugo co najmniej trzykroć sto tysięcy franków, a wznowienie go zapowiada drugą taką kwotę.

W takich razach autor zazwyczaj wydaje ucztę dla artystów, pod czas której wręcza grającej pierwszą rolę jakiś upominek najczęściej bukiet spięty złotą klamrą, którą kiedyś Aleksander Dumas w podobnych wypadkach przystrajał drogocennemi brylantami.

Wiktor Hugo uznał dotychczas przynajmniej wyprawianie uczty za niegodne wielkiego poety i wielkiej artystki; dawany upominek za błahy i bez znaczenia; wymyślił coś wznioślejszego. Oto napisał do prima-donny Sarah Bernardt list następujący:

Pani!

Byłaś pani wielką, zachwycającą. Kiedy publiczność wzruszona Twą grą biła oklaski, ja płakałem. Wycisnęłaś łzę z oka wytrwałego wojownika z przesądami i wstecznością. Ta łza do Ciebie należy, składam ją u Twoich stóp.

Tyle jasna osnowa listu czyni zbytecznemi wszelkie uwagi.

W tych dniach miałem sposobność widzieć w Paryżu nowy dramat przez Dennery i Carmon pod tytułem *Słynna sprawa.* Utwory tego rodzaju we Francyi coraz więcej wkraczają w obręby właściwe sądom przysięgłych, opierając na zbrodni już nietylko walkę namiętności ale i sam rozwój wypadków. Trucie na scenie, duszenie niewiernej żony i t p. są środkami dosyć pospolitemi do wzruszenia i zajęcia widzów. Pisarze znowu wyższego rzędu jak Wiktor Hugo, wytworzyli nową szkołę, chcąc jaskrawością przedmiotu i potoczystością słowa uderzyć tak silnie wyobraźnię publiczności, aby ta zapomniała o nieprawdopodobieństwie i pogwałceniu wszelkich praw psychologicznych, ujawnionych już nietylko w obecnym stanie społeczeństwa, ale w jego rozwoju historycznym. Autor nowego dramatu Słynna sprawa uniknął szczęśliwie obydwóch tych ostateczności. Wziął wprawdzie główną myśl do swego utworu ze sprawy kryminalnej, jaka miała miejsce przed dwoma laty: uwydatnia w niej kwestyą prawną nader ważną ze względu na świętość węzłów rodzinnych, ale ostatecznie zbrodnia stawioną jest niejako w cieniu, zajmuje miejsce podrzędne, dozwalając tylko twórcy rozwinąć najpiękniejsze najszlachetniejsze uczucia córki dla swego życiodawcy.

Sprawa o jakiej mowa narobiła we Francyi wiele wrzawy.

Wiejski roznosiciel listów, jeżeli się nie mylimy Mano, zabił żonę bratowę i ciotkę.

Przeczył jednak stanowczo spełnieniu zbrodni i nie było dowodów dostatecznych do jego skazania. W czasie dopiero posiedzenia sądu przysięgłych, prezes na zasadzie przysługującego mu prawa, zawezwał do badania synka oskarżonego mającego sześć czy siedem lat życia. Chłopczyna w odpowiedziach swych przywiódł okoliczności potępiające tak dalece ojca, że ten na zasadzie zeznań syna skazanym został na karę śmierci. Biedne dziecko! całe może jego życie będzie zatrute tą myślą, jestem powodem śmierci mego życiodawcy. Czy społeczeństwo powinno wyszukiwać zbrodniarza wszelkiemi możliwemi środkami nawet z potarganiem węzłów rodzinnych? Autor odpowiada w sposób przeczący, podobną odpowiedź udziela prawodawca, bo wstępni i stępni oskarżonego nie powinni ulegać badaniu; ale niestety mały artykulik dodatkowy o władzy prezesa sądu przysięgłych, niweczy tyle zbawienny przepis. Szkodliwe następstwa podobnej sprzeczności w prawie, uwydatnione są w nowej sztuce w sposób nadzwyczajnie przejmujący. Na zasadzie zeznania trzechletniej dziewczynki w błąd wprowadzonej, ojciec tejże skazanym jest najniewinniej do ciężkich robót na całe życie i to tylko w drodze łaski, bo jako żołnierz dał dowody nieustraszonego męztwa. Pod wpływem wyrządzonej mu niesprawiedliwości, idąc na galery krzyknął z przejęciem ściskając po raz ostatni swoje dziecię:

— Przebaczam ci moja córko krzywdę jaką mi bezwiednie wyrządziłaś.

Wyrazy te utkwiły głęboko w sercu i myśli dziewczynki, były przytomne ustawicznie jej pamięci nie dając chwili wypoczynku.

W kilkanaście lat potem za pośrednictwem tych wyrazów poznaje ona ojca w konwoju prowadzonych galerników.

Rzecz w ten sposób zestawiona daje wiele scen wzruszających nadzwyczajnie.

Dla wyczerpnięcia przedmiotu autor przedstawia walkę wewnętrzną innej panienki. Wykrywa ona wypadkowo że ten którego ona mylnie uważa za swego ojca, dopuścił się rzeczywiście zbrodni za którą inny cierpi niewinnie. Czy go ma oskarżyć czy nie? Po wielu przejściach dramatycznych, postanawia zachować tajemnicę co przez zgromadzoną publiczność przyjętem jest rzęsistemi oklaskami.

(*d. n.*)

Przegląd literacki.

Reineke Lis, poemat Getego w 12 pieśniach z rysunkami podług Kaulbacha, sześciomiarem (hexametrem) polskim opracował L. Jenike. Warszawa 1877.

(Dokończenie).

Nazwaliśmy poemat „Reineke“ baśnią staroświecką, gdyż istotnie, pomimo wielu zręcznych i dowcipnych ustępów, utwór to, jak na dzisiejsze czasy, za suchy, za rozwlekły i niebardzo interesujący. Myśl satyryczna, nowa może w Europie średniowiecznej, w wieku XV lub wcześniej, dziś już oddawna spowszedniała, a i przebijające w poemacie warunki, okoliczności, stosunki i urządzenia średniowieczne oddawna już przebrzmiały. Gete mówi o sobie, że zajął się przekładem tego poematu z nudów i zniechęcenia w epoce rewolucyi francuzkiej: zapewne przez niewytłomaczony kontrast w naturze ludzkiej tkwiący, szukał rozrywki w tej dziwacznej staroświeckiej baśni.

Przekład p. Jenikego bardzo staranny, pracowity i poprawny. Wybitnego kolorytu poetyckiego szukać tu byłoby daremno, ale nie masz go i w oryginale, jak w ogóle być nie może w utworach alegorycznych, satyrycznych i moralizujących, a więc nacechowanych już z natury rzeczy pewną wymuszonością, chłodem i charakterem ujemnym. Co do budowy wiersza sześciomiarowego, którego p. Jenike, od czasu wydania swojej rozprawki „O rytmiczności języka polskiego“ jest wielkim zwolennikiem, słusznie go zalecając, uczynilibyśmy tłomaczowi dwa główne zarzuty. Po pierwsze, pan J. wyrazy jednozgłoskowe, wszystkie w ogóle, bez względu na część mowy i formę, uważa za obojętne, to jest używa ich dowolnie, w miarę wymagań wiersza, raz jako długich czyli akcentowanych, to znowu jako krótkie czyli bez akcenu, jak np.

„Słysząc hałas rosnący *Myś* szarpnął łbem rozpaczliwie [(str. 21).

„Ptaszku kochany, zawołał, *zwróć* skrzydła i podleć na [prawo“ (str. 31).

„Zjemy razem wieczerzę. *Człek* nędznie żyje, co prawda“ [(tamże).

W tych przykładach rzeczowniki i słowo jednozgłoskowe użyte są jako krótkie czyli nieakcentowane. Podobnież zaimki np.

„Bogu *was*, bracie, polecam, zawołał, *mnie* pilno do domu“ [(str. 21).

Otóż nam się zdaje, że wszystkie te części mowy nie mogą być pozbawione akcentu (z zaimków chyba tylko formy *mi*, *mię*, *ci*, *cię*, *go*, *się*), lecz koniecznie muszą być użytemi do budowy daktylu lub trocheju, a dwa podobne wyrazy, obok siebie położone, dają wyborny spondej, co nawet bardzo ułatwia budowę hexametru i zbliża go do wzorów starożytnych, jak to znajdujemy czasem i u p. Jenikego np. Nobilis *lew król* zwierząt i t. p. (str. 13) „lis frant“ (tamże); „krew jej“ (str. 16) i t p. a takie spondeje już same świadczą przeciwko powyższej dowolności.

Z drugiej strony, jednozgłoskowe przyimki i spójniki, bezwarunkowo pozbawione akcentu, również dowolnie bywają u tłomacza to długiemi, to krótkiemi, według naszego zdania, uchodzi to, co najwyżej, na początku wiersza (bo tu i u starożytnych krótkie zgłoski mogły być zamiast długich używane) i także w połączeniu przyimków z zaimkami, które to połączenia stanowią spondeje (np. ze mną, przy was). Wypada tu jeszcze dodać, że starożytny hexametr posiadał jeden jeszcze środek przedłużenia wszystkich bez wyjątku zgłosek krótkich, a mianowicie, następstwo dwu lub kilku spółgłosek, ale hexametr polski środka tego nie posiada.

Zdarzają się także, choć rzadko, wiersze, w których chyba nie ma miary hexametru jak np. „Rzecze Reineke lis. Nie, jakom żyw, zaklął się Bury“ (str. 22). Za wielką zaletę należy nakoniec poczytać hexametrowi p. Jenikego, że średniówkę czyli cezurę ma zawsze z końcem wyrazu, ale nie z końcem stopy (na 2½ stopy, jak w hexametrze starożytnym).

Imiona zwierząt tłomacz oddaje swobodnie, nie krępując się oryginałem, lecz tworząc imiona polskie jak np. Piejec, Grzebka, Dobrutka i t. p. na wzór Krasickiego w Myszeidzie. Niektóre wprawdzie z tych imion właściwie w języku polskim nie istnieją, ale to już licencya poetyczna, a zresztą imiona te są zawsze przezroczyste i zrozumiałe; tak samo możnaby też spolszczyć imiona Nobilis (lew) i Reineke (lis), te jednak tłomacz zostawił. W końcu musimy wspomnieć o rysunkach, które dodają książce wiele wartości i same już są rzeczą niezmiernie ponętną i ciekawą, są to rysunki Kaulbacha, w których genialna fantazya łączy się z doskonałością i zjadliwą zbyt przezroczystą satyrą. Na niektórych z tych rysunków pozostały aluzye i szczegóły zbyt realne, jakich tłomacz unikał w tekście.

S.

Zakład rękodzielniczy dla kobiet.

Wierni przyjętej przez nas zasadzie podtrzymywania tego co jest godnem uznania, dajemy każdego roku streszczony obraz czynności Zakładu rękodzielniczego dla kobiet.

Przez przeciąg czteroletniego swego istnienia pobierało naukę we wspomnionym zakładzie 531 uczennic z których 303 ukończywszy całkowite kursa otrzymało odpowiednie świadectwa uzdolnienia, 96 zaś nie skończyło nauk z tych 80 oddaliło się bez zdania egzaminu. Uczennice kształciły się w sześciu następujących rzemiosłach: kroju sukien, kwiaciarstwie, introligatorstwie, rękawicznictwie, buchalteryi i kroju bielizny. Najwięcej kandydatek liczył krój sukien, (303), najmniej krój bielizny (13) inne projektowane oddziały o których przeszłego i zaprzeszłego roku wspominałem, nie mogły być otwartemi z powodu niedostatecznej liczby kobiet zgłaszających się do wpisu.

Dziwimy się iż nauka szewctwa damskiego, jednego z najpotrzebniejszych a zarazem najbardziej korzystnych pod względem zarobku rzemiosł, nie mogła dla braku kandydatek być dotąd wprowadzoną do programu.

Jest to uprzedzenie niczem wytłomaczyć się nie dające. Uczennice które ukończyły kursa otworzyły już w Warszawie dwadzieścia pracowni; na prowincyi zaś mianowicie w Radomiu, Lublinie, Suwałkach, Międzyrzecu, Płocku, Częstochowie, Piotrkowie, Kaliszu, Skierniewicach, w Smoleńsku, Mińsku Berdyczewie, Białej Kowlu, Dubnie, Białymstoku, Grodnie, Astrachaniu i t. d.

Zważywszy na świetne rezultaty podjętych trudów w tym kierunku, nie podobna bez smutku patrzyć na obojętność ogółu o podtrzymania tyle pożytecznej instytucyi. Począwszy od klas mniej uposażonych darami fortuny aż do wyższych warstw towarzystwa, wszyscy traktują kwestyą bytu kobiet z poważnego stanowiska, czują konieczność zajęcia się szczerego dolą kobiet, ale kończy się wszystko na pustym brzęku słów jakby wśród puszczy bezludnej. Praca niewieścia znajduje za granicą silne poparcie w stowarzyszeniach i komitetach damskich, a u nas czyż znalazło się choć małe gronko kobiet z klas wyższych, któreby się poczuły w obowiązku przewodniczenia biedniejszym na drodze zdobycia sobie własną pracą samoistnego stanowiska? Nie lubimy pisywać szumnych artykułów o wyswobodzeniu kobiety z odwiecznej rutynicznej cieśni, prawić po katedrach o rozwinięciu działalności na tem polu, gdy jednakże nadejdzie pora zmienić jałowe frazesy w czyn, tracimy naszą poprzednią energię. Silni w teoryi stajemy się słabymi w praktyce.

Nawet i te z kobiet których działalności zakładu rękodzielniczego najbliżej dotycze, gdyż stanowi o ich bycie materyalnym, odznaczają się dziwną jakąś obojętnością. W ubiegłym np. 1877 roku liczba uczennic zmniejszyła się prawie o połowę.

Obecnie jest ich tylko szesnaście.

Czyż podobny stan nie doprowadza do wniosku, że w naszym kraju najlepsze chęci rozbić się zawse muszą o obojętność z jednej a brak wytrwałości z drugiej strony? Czyliż każda idea której wszechstronne korzyści uznaliśmy, ma być tylko wynikiem efemerycznej mody lub chwilowego kaprysu, i przejść niepostrzeżona w dziejach społecznych jak powiew wiatru, nic po sobie nie pozostawiwszy?

Zaprawdę, to się nie godzi!

Ludwik Niemojowski.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Lucynie P. w Helenówce. Tygodnik zaprenumerowany został, rs. 2 doręczono biednej p. Machnickiej.

Przyjaciela Dzieci Nr. 3 wyszedł z druku i zawiera:

Dawne stroje i uzbrojenia (z drzeworytem). — Pogadanka z Ojcem LXLI. — Kłosy (wiersz). — Siedemdziesiąt razy siedem. — Zziębnięty kotek (wiersz) — Czyny nauczające. — Różne wiadomości. w Dodatku: Stado kur i kurcząt (z drzeworytem). — Do Józia (wiersz) — Przygody Janka i Marylki. — Opis pobytu Joasi w Kole. Sikory (z drzeworytem). — Złych czynów nie ukryje (wiersz). Nieuczynny Czesławek (wiersz). — Wspomnienia z przeszłości.

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Elektoralna Nr. 779 (nowy 41).*

Helena Dąbrowska

przedstawia Guwernantki i Guwernerów tak cudzoziemców jak i krajowego pochodzenia. **Adres:** *Pani Helena Dąbrowska, w Warszawie, Krakowskie Przedmieście Nr. 71, wprost wystawy obrazów Towarzystwa Zachęty Sztuk pięknych.* Imię *Helena* należy zawsze wypisywać.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 4 (16) Января 1878 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 2.

(Dokończenie).

N. 25—32. Ubranie dla myśliwego.

Rycina 25 przedstawia kamasz z mocnej jasno-bronzowej skóry z boku sznurowany; sznureczek nie jest przewłóczony przez dziurki tylko zaczepiony za małe mosiężne sztyfciki. Baszłyk kraje się podług Fig. 58, z ciemno-popielatego sukna a z brzegów ma dodane ponsowe wypustki $1^1/_2$ cent. szerokie.

Kamizelka z długiemi rękawami, robionemi na drutach lub szydełkiem, którą widzimy na ryc. 27, jest przykrojona podług formy załączonej na arkuszu N. XIII, Fig. 52—57, z ciemno-bronzowego sukna na podszewce z takiejż flaneli; kieszonki wszyte są między wierzch i podszewkę i mają przystębnowane klapeczki podług Fig. 56—57. Rękawy wszyte są w pachy od e—f, dalej zaś od spodu ręki nie wszywają się; jeżeli chcemy zastąpić je rękawami sukiennemi to Fig. 54 podaje na nie formę. Szal z włóczki jasno i ciemno-popielatej kastorowej, odrobiony jest szydełkiem podług próbki ryc. 29 i dwie strzałki oznaczają kierunek przeprowadzania nitki roboczej.

Ryciny 30—31 przedstawiają przód, plecy i lewą stronę bluzy z karczkiem, której krój jest na arkuszu pod N. XII, Fig. 48—51. Uszycie jej jest bardzo proste, a zestawienie i dopasowanie części kroju ułatwiają odpowiadające sobie litery.

N. 33—34. Szlaczki wywodzone na tiulu.

N. 35. Chusteczka z materyi i koronki.

Formę chusteczki wycina się ze sztywnego tiulu podług dobrze leżącej szmizetki od kołnierzyka. Pokrycie zwierzchnie stanowi skos niebieskiego jedwabnego repsu, złożony w podłużne fałdy i przysłonięty koronką, zwróconą na dół i w górę. Kokardy dodają się w środku z tyłu i z przodu podług ryc. 35, do szyi dane plisowanie z crêpe lisse.

N. 36. Chusteczka naszyta perełkami.

Potrzeba na nią kawałka czarnej repsowej wstążki $5\,^1/_2$ cent. szerokiej a 52 długiej, która powleczona jest jedwabnym tiulem, wyszytym w skośne rzędy perełkami clair de lune. Do tej wstążki przyszyte są końce tiulowe, po 5 cent. szerokie a 17 długie, złożone w fałdki i naszyte koronką która dana jest na około brzegiem wstążki. Dwie kokardy zapinają chusteczkę.

N. 39. Kasetka wyrzynana z drzewa. Deseń podaje Fig. 35-a i b.

Opis jest tu zupełnie zbytecznym dla osób umiejących wyrzynać z drzewa, dodamy tylko że dla efektu całe wnętrze wyklejone jest kolorową materyą.

N. 40. Przykrycie na lampę. Krój i deseń na arkuszu N. XVIII, Fig. 72.

Materyał: gruba biała kalka; czarny glansowany papier; bibułki: biała, żółta, niebieska, ponsowa; ostry scyzoryk; deszczułka do podłożenia przy wykrawaniu; guma; pendzelek.

Przykrycie przedstawione na ryc. 40 składa się z czterech kwaterek ozdobionych każda innym deseniem; Fig. 39-a i b podają desenie kwiatów do wycinania. podług nich czytelniczki mogą ułożyć sobie bukieta na inne kwaterki. Rysuje się deseń na lewej stronie grubego papieru i następnie ostrym scyzorykiem nacina kontury w ten sposób, ażeby deseń trzymał się tylko na częściach łączących go z tłem. Cienie bledsze lub ciemniejsze otrzymają się przez odchylanie listeczków za pomocą druta lub szpilki podwójnej. Najpierw tak przygotowana robota podkleja się zieloną bibułką, następnie zaś dodają się kolorowe części, a gdzieby kolor tracił na przebijaniu przez zielony to trzeba bibułkę zieloną wyciąć nożyczkami. Białą bibułką podkleja się każdą kwaterkę i od spodu na około brzegów dodaje czarną ramkę z glansowanego papieru, przy której kolorowe bukiety lepiej odbijają.

N. 41. Suknia z vêtement frakowem. Wskazanie kroju na arkuszu N. XVII, Fig. 71.

Materyał wełniany gładki i deseniowy tudzież aksamit w takim samym kolorze składają ubranie przedstawione na ryc. 41.

Przy pomocy małego formatu kroju Fig. 71 i mając formę załączoną pod N. X na dzisiejszym arkuszu, łatwo dopasować takie vêtement. Pierwsze części przodów krają się podług Fig. 71 na długość stanika z baskiną, drugie części przodów i boczki nadają formę fraka; szerokość dodana przy plecach składa się w fałdy, niżej zaś na 50 cent. od dołu vêtement złożone jest w cztery fałdy przepięte aksamitną kokardą. Brzegi tego fraka są objęte wypustką aksamitną, do przodu dodana jest część fartuszkowa 96 cent. długa, z boków zaokrąglona i sfałdowana do 62 cent. Rękawy aksamitne.



N. 1. Ubranie spacerowe. N. 2. Suknia z vêtement.

Opis do

N. 1. Ubranie spacerowe.

Suknia z popielatego materyału neige odrobiona tak samo jak suknia przedstawiona na ryc. 2. Paletot czarny aksamitny (podług kroju podanego w przeszłorocznych N-rach) obłożony skunksami, także mufka i kołnierz.

N. 2. Ubranie domowe. Krój vêtement podamy w N-rze 4 na ryc. 43.

Materyał wełniany jak kaszmir, neige i t. p. najlepiej układa się w fałdach i podpięciu vêtement, którego krój wskażemy w zmniejszeniu na ryc. 43 w N-rze 4. Z przodu od wcięcia stanu zapięte jest skośno do dołu; prawa szersza połowa przodów kraje się o 40 cent. dłużej od lewej wązkiej połowy, licząc na założenie fałd poprzecznych, idących także przez bok prawy i przeszytych na szwie pleców jak to wskazuje ryc. 43. Lewa połowa przodów i bok lewy pozostaje gładki i przy tylnym brzegu zakłada się w fałdę zajmującą 13 cent. materyału, odznaczoną krzyżykiem i kropką. Z tejże samej strony zbywająca długość tylnego bryta, w odległości 35 cent. od dolnego brzegu, podniesiona jest w fałdę 20 cent. długą (składając gwiazdką do gwiazdki); brzeg fałdy zszyty jest od środka a utworzony przez to ząb szpiczasty, przyczepia się po drugiej stronie i tworzy draperyę fałdowaną, widoczną na ryc. 2. Model z ciemno-zielonego wełnianego materyału, miał brzegiem vêtement wycięte zęby po 5 cent. głębokie a 4 szerokie u dołu objęte wypustką, podszyte od spodu drobnem plisowaniem 7 cent. szerokiem, które przy brzegu przednim zwraca się w górę aż do wykroju szyi. Na spódnicy dane zęby i plisowanie znacznie szersze; rękawy zakończone odpowiednio.

N. 3—5. Koniec do krawatki.

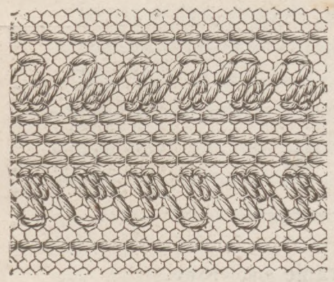
Tiulowa krawatka ozdobiona jest wywodzeniem jedwabiem lub filozelą; gwiazdki można wyszyć podług ryc 5, a wzory szlaków podają ryc. 3—4.

N. 6. Krawatka z muślinu i koronki.

Potrzeba na nią kawałka muślinu 122 cent. długiego a 20 szerokiego, w końcach ściętego skośnie, który oszywa się z brzegów poprzecznych wolansjenkową wszywką, listewką muślinową i szeroką koronką: brzegi podłużne oszyte są wąziutką walansjenką; krawatka założona jest w całej długości w płaskie fałdy, kokardę wiąże się z jednego końca a drugi podkłada prosto, w ten sposób nie gniecie się krawatka zdejmowaniem i wiązaniem.

N. 7. Krawatka jedwabna ozdobiona haftem.

Skos blado-niebieskiego jedwabnego repsu 115 cent. długi, w środku 7 w końcach 20 cent. szeroki, składa się we dwoje i fastryguje krytym szwem. Końce trochę szpiczasto ścięte oszyte są plisowaniem z koronki 8 cent. szerokiej i ozdobione haftem naśladującym pawie pióro. Haft ten odrabia się oddzielnie na tle z białego tiulu, niekręconym jedwabiem koloru niebieskiego, różowego i zie-

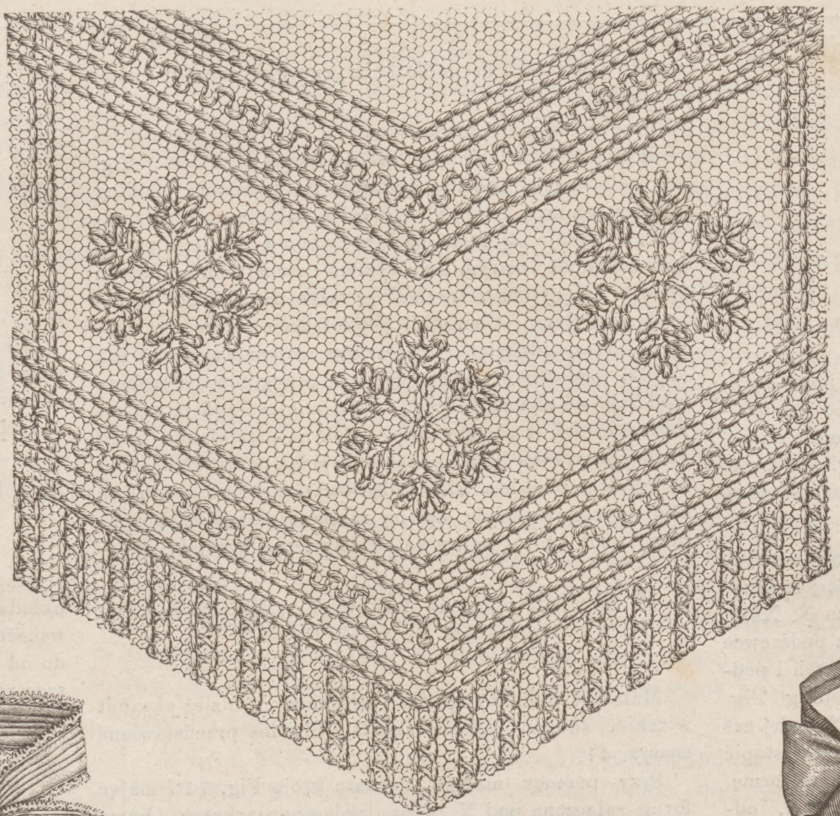


N. 3. Wszywka wywodzona na tiulu.

lonawego, następnie wycina się i aplikuje na materyi.

N. 8—9. Pudełko do kapelusza męzkiego.

Tekturowe pudełko pokryte szarem płótnem, z wypustkami z ponsowej skórki, ma przykrywkę ozdobioną wielkim monogramem i szlakiem haftowanym ponsowym jedwabiem. Monogram odpowiedni znajdzie się na arkuszach z krojami, a deseń szlaku wyszytego ściegiem łańcuszkowym i supełkami podaje ryc. 9.



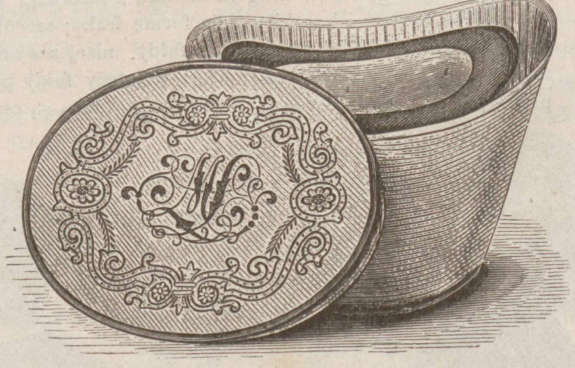
N. 5. Zakończenie krawatki. Wywodzenie na tiulu patrz ryc. 3—4.

N. 10. Torebka na drobiazgi.

Odpowiednia do zawieszenia na ścianie, służyć może do włożenia jakich drobnostek które chcemy mieć pod ręką, szyje się z szarego płótna na podszewce i ozdabia zwierzchu wyszyciem kolorową bawełną. Frendzelkę daną u dołu podamy w N-rze 4 na ryc. 17.



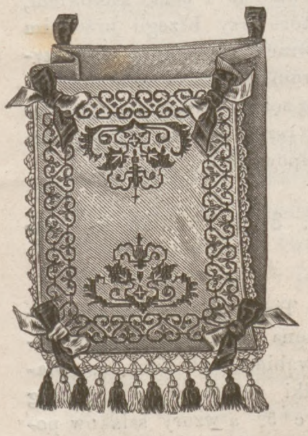
N. 6. Krawatka muślinowa z koronką.



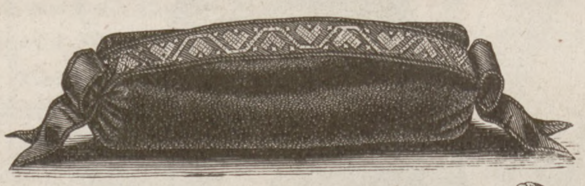
N. 8. Pudełko do kapelusza męzkiego. Patrz ryc. 9.

N. 11—12. Dwie szczotki.

Rycina 11 przedstawia szczotkę odrobioną z aksamitu a ryc. 12 szczotkę z sukna, odpowiednie do czyszczenia rzeczy aksamitnych materyi jedwabnych lub wełnianych; wielkość i objętość może być zmienioną dowolnie; szlaczki wyszyte włóczką lub jedwabiem. Szczotka ryc. 11 jest w formie wałka z aksamitu wypchanego watą, pasek haftowany służy do przełożenia ręki przy ujmowaniu szczotki i jest w końcach przytwierdzony pod kokardami. Na ryc. 12 widzimy szczotkę z resztek sukna ściśle zwijanych w rulon, brzegiem wyciętych w ząbki.



N. 10. Torebka na drobiazgi.



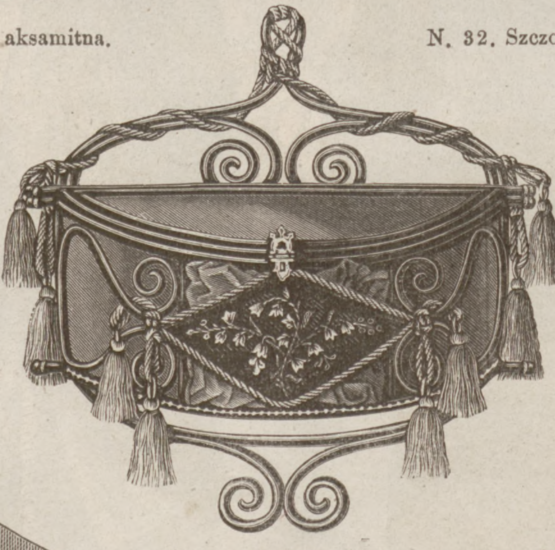
N. 11. Szczotka aksamitna.



N. 32. Szczotka sukienna.

N. 13. Teka do papierów.

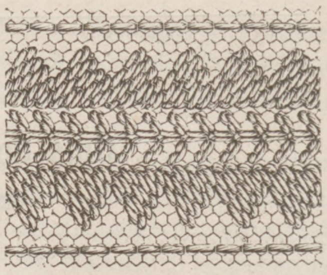
Ozdobiona malowaniem na płótnie.



N. 14. Szyfonjerka.

N. 14. Szyfonjerka.

Z trzciny czarno-lakierowanej wyłożona jest wewnątrz tekturą powleczoną kolorową materyą; na środku ścianki frontowej widać czworokątny medaljon z czarnego atłasu lub aksamitu ozdobiony haftowaną gałązką kwiatów i otoczony z brzegów czterema bufami z materyi. Sznury i kwasty jedwabne koloru materyi pokrywającej wnętrze.



N. 4. Wszywka wywodzona na tiulu.

N. 15—17. Wałek pod głowę.

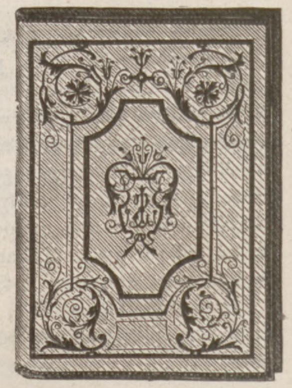
Potrzeba najpierw uszyć poszeweczkę z szyrtyngu 60 długą a 46 objętości mającą i wypchać ją watą, następnie pokrywa ją się z wierzchu kolorowym atłasem, który w środku i na końcach przemarszczony jest w bufy. Odstępy między bufami po 14 cent. szerokie ozdobione są robotą szydełkową z mignardisse i gładką tasiemeczką. Ryciny 16 i 17 przedstawiają próbki roboty, łatwo z nich obliczyć liczbę oczek. Kokardy z wstążki atłasowej 3 cent. szerokiej



N. 7. Krawatka jedwabna.

N. 18—20. Przykrycie na nogi.

Niezmiernie praktyczne w czasie jazdy sankami lub w fotelu na łyżwach, przykrycie podszyte futrem opatrzone mufeczką i workiem do wsunięcia nóg liczy w kwadrat 120 cent. i pokryte jest szafirowem suknem; brzegi mufki objęte są czarnem futrem, długość jej wynosi u dołu 35, w górze 22 cent. a szerokość 18 cent. Worek na nogi również pokryty suknem, składa się z kwadratu 28 cent. długiego i z pasu bocznego 13 cent. szerokiego; jeżeli nogi mają być tylko z wierzchu przykryte to worek zapina się na guzik przyszyty do przykrycia i na pentelkę przyszytą do brzegu worka. Ryciny 19—20 podają dwa wzory szlaczków, do przyozdobienia brzegów przykrycia, które wyszyć można jedwabiem lub włóczką kolorową.



N. 13. Teka do papierów.

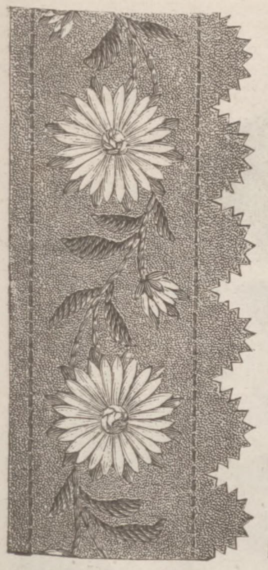
N. 21. Opis w przyszłym N-rze.

N. 22—23. Kokardy i ubranko na głowę.

Układ kokard wskazują ryciny: ryc. 22 przedstawia kokardę z wstążki bla-



N. 9. Część deseniu do ryc. 8.


N. 19. Szlaczek do ryc. 18.

do-niebieskiej serge, przepiętą dwoma muszkami srebrnemi, filigranowej roboty i zdobną okrągłą kitką z blado-niebieskich strusich piórek. Druga mniejsza kokardka służy do przypięcia na bercie lub przy kołnierzyku. Na ryc. 23 widzimy ubranko z białych kamelii, gałązek rezedy, ciemnych liści i 20 cent. długiego strusiego pióra, przypiętego długą złotą klamrą.

N. 24. Opis w N-rze 4 przy ryc. 28.

N. 25 i 33. Suknia z tuniką i długim stanikiem. Krój tuniki patrz ryc. 44 w N-rze 4.

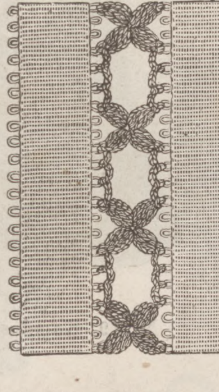
Gustowne ubranie przedstawione na ryc. 25 i 33, odszyte jest z ciemno zielonego wełnianego materyału, z gładkim bardzo długim stanikiem z boku zapinanym i z tuniką w nowym rodzaju, której krój i wymiar podajemy w N-rze 4 na ryc. 44. W przodzie składającym się z dwóch części, dane są od góry zaszewki odznaczone liniami kropkowanemi, które zmieniają się odpowiednio do figury. Górna część przodu (litera *a*) oszyta jest skosem 14 cent. szerokim, od dołu odwróconym a w górze zakończonym grubą wypustką na którym dane są guziki i odznaczone dziurki. Pod tym skosem przyszyta jest dolna połowa bryta (*b*), mająca ze skośnego brzegu 137 cent. długości, z prostego zaś, założonego w 10 płaskich fałdek oznaczonych liniami kropkowanemi, 60 cent. długości. Prosty bryt tylny *c* złożony u góry w podwójną kontrafałdę, jest z jednej strony wraz z przodem ufałdowany, a od dołu na 30 cent. wysunięty, z drugiego brzegu założony w dwie fałdy zajmujące po 22 cent. w odstępie 18 cent. i złączony z przodem podług odpowiednich znaków. Gruba wypustka otacza brzegi tuniki, stanika i rękawów, przybranie sukni składa się z 10 cent. szerokiego plisowania i równie szerokiej falbany układanej w kontrafałdy.

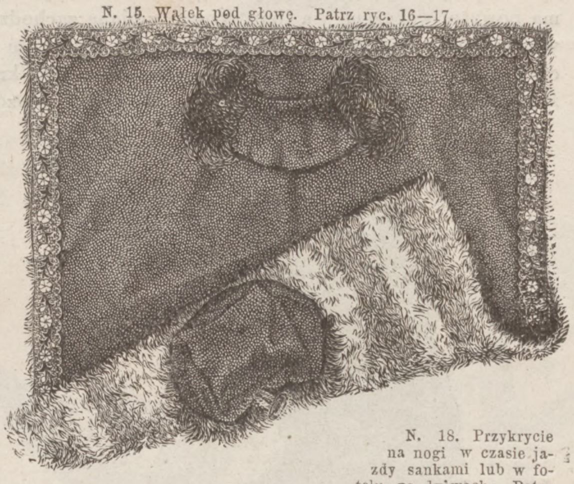
N. 26—27. Suknia princesse z odznaczonym stanikiem. Krój jak do ryc. 1—2 w N. 1 Tyg. Mód.

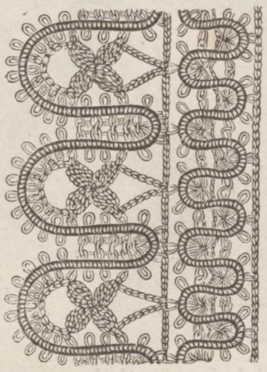
Ryciny 26 i 27 przedstawiają przód i plecy sukni odrobionej podług formy gładkiej princesse na której tunika i stanik naśladowane są tylko naszyciem przybrania. Model odrobiony był z deseniowego wełnianego materyału koloru sarniego; plisy, rękawy i kamizelkowe naszycie na przodach (60 cent. długie) z ciemno-bronzowego aksamitu; także jedwabna pasmanterya i szeroka frendzla; przy ubraniu spacerowem na ryc. 26, zamiast frendzli dane obłożenie z futra. Plisy są po 8 cent. szerokie; dół sukni zdobi wolant 18 cent. szeroki, oszyty 4 cent. szerokiem plisowaniem. Draperya zajmująca przód i boczne bryty składa się z trzech zachodzących na siebie części, lekko nadmarszczonych w górnym brzegu, po 38 cent. szerokich (długość stosuje się do figury) od dołu przybranych, z poprzecznych stron ufałdowanych do 19 cent. szerokości i przyszytych na szwach łączących boki z plecami. Przyszycie górnej draperyi przysłonięte jest przybraniem odznaczającem stanik, pod którem z tyłu przytwierdza się prosty bryt 124 cent. długi, 56 szeroki, u góry sfałdowany do 18 cent. szerokości, z boków przez założenie jednej lub dwóch fałd podpięty do 84 cent. Przybranie tego bryta z jednego boku i u dołu stanowi plisowanie 4 cent. szerokie, z drugiego boku róg zdaje się był odwinięty na 20 cent. wszerz u dołu a 57 cent. wzdłuż i pokryty aksamitem.


N. 15. Wałek pod głowę. Patrz ryc. 16—17.


N. 20. Szlaczek odpowiedni do ryc. 18.


N. 16. Wszywka do ryc. 16.


N. 18. Przykrycie na nogi w czasie jazdy sankami lub w fotelu na łyżwach. Patrz ryc. 19—20.


N. 17. Ząbki do ryc. 15.


N. 21. Deseń do ryc. 36 w N-rze 4.

N. 28. Negliżyk muślinowy.

Podstawę stanowi pasek sztywnego tiulu 2 cent. szeroki a 48 długi, oszyty drucikiem, który gdzieniegdzie zakłada się w fałdki; na denko potrzeba owalu skośnego 25 cent. długiego, 35 szerokiego który zakłada się w równe fałdki i przyszywa do paska. Walansjenka 5 cent. szeroka, lekko namarszczona dana jest przy dolnym brzegu paska; na welonik spuszczony z tyłu potrzeba szpiczastego trójkąta, z jednym bocznym brzegiem skośnym, u góry 30 cent. szerokiego z boku 40 cent. długiego. Brzegi trójkąta oszyte gładko koronką; od góry złożony jest w podwójną kontrafałdę, przez co zwęża się do 8 cent. i przyszywa z tyłu główki. Pasek przysłaniają dwie bufki muślinowe z których jedna podwleczona jest wstążką szafirową, druga żółtą, po 4 cent. szerokości. Z tyłu główki dodana kokarda z obu wstążek, z pod której wysuwa się koniec 48 cent. długi, przerzucony przez welonik.


N. 22. Kokarda na głowę i do sukni.


N. 24. Suknia z białego muślinu. Opis w N-rze 4.


N. 25. Suknia z tuniką i długim stanikiem z baskiną. Patrz ryc. 33. Krój tuniki podamy w N-rze 4.


N. 26. Suknia princesse z odznaczonym stanikiem. Patrz ryc. 27.


N. 23. Ubranko na głowę.


N. 27. Suknia princesse z odznaczonym stanikiem. Patrz ryc. 6.



N. 28. Neglіżyk muślinowy.

N. 29. Kapelusz z rondem podniesionem z boku.

Czarny aksamitny kapelusz ma rondko z jednego boku wysoko podniesione i podszyte blado-niebieskim atłasem, z brzegów oszyte czarną koronką 10 cent. szeroką. Na odwinięciu rondka dana wielka kokarda z atłasowej wstążki przepięta czarną dżetową klamrą. Główkę zdobi szeroki skos atłasu ułożony z boku w dwa wysokie pukle; z tyłu z pod rondka wysuwają się atłasowe końce, czarny i niebieski, przewiązane w kokardę.

N. 30—31. Paletot wcinany.

Na ryc. 31 wskazaliśmy w zmniejszeniu krój paletota, który na podobieństwo męzkich ubrań ma przody i boki odcinane. Za podstawę przy krajaniu może służyć forma podana w roku przeszłym przy ryc. 5—7 w N. 46, a potrzebne zmiany dopełnia się podług maleńkiego formatu ryc. 31, na którym linią kropkowaną oznaczona jest forma powyżej wskazana, a linią prostą zmiana zachodząca w odciętych przodach i bokach. Zbywająca szerokość odciętej połowy przodów zakłada się w fałdę oznaczoną krzyżykiem i kropką i zwróconą pod spód przy gwiazdce.



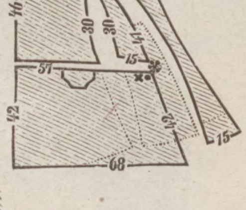
N. 29. Kapelusz z rondem podniesionem z boku.

Paletot taki może być uszyty z jedwabnego repsu, kaszmiru, wigoniu lub czarnego aksamitu.

N. 32. Opis przy ryc. 30 w N-rze 4.



N. 30. Paletot wcinany. Patrz ryc. 31.



N. 31. Wskazanie kroju paletota ryc. 30.

Środek pleców pozostaje nie zmienionym tylko przydłuża się od dołu. Kieszeń dodaje się od spodu na szwie łączącym górną i dolną połowę przodów a zwierzchu dopełnia klapką widoczną na ryc. 30 i 31.



N. 32. Suknia ze stanikiem z baskiną i spódnicą tworzącą zarazem tunikę. Opis przy ryc. 30 w N-rze 4.



N. 33. Suknia z tuniką i długim stanikiem. Patrz ryc. 25.